Nr. 9 i 10. Kraków, wrzesień-październik 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::
wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.
W państwie rosyjskiem:
Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

W rocznicę śmierci bohatera z pod Racławic, drukujemy wiersz Seweryny Duchińskiej:

KOŚĆ Z KOŚCI.

Nie brakło orłów tej ziemi
Wśród długich czasów pochodu,
Jeden górúje nad niemi —
ON Kością z Kości narodu!

W żyłach krew kipi nie woda,
Myśli te wstrzymać w rozpędzie,
Drżyj, wrogu, gdy ręka młoda
Szablicę z pochwy dobędzie!

Kość z kości: z rodu i miana,
Junacze nęcą GO sprawy....
Porywa córkę hetmana.
Piastuna złotej buławy.

Pogoń ich rączo pochwyca,
Przed ojca straże powloką;
Płacze dorodna dziewica,
Lecz pierś hetmańska opoką.

Łzy nie rozkruszą tej skały —
Wola rodzica potężną —
Płacze bogdanka rok cały,
A potem... została księżną.

ON pomknął przez morskie fale,
Na drugą świata dzielnicę;
Tam z piersi wypłakał żale,
Tam w dłoń pochwycił szablicę.

W walce za prawa człowieka,
Ukrzepia ramię od młodu;
Wie, że trud wielki go czeka —
ON kością z kości Narodu!

Godzina czynów uderzy:
Kraj nasz raz drugi zszarpany!
Wnet wieść Atlantyk przebieży
Trąca o głuche Sawany.

Hejże za wiosła co żywo!
Ocean wściekle się zżyma,
Grzywę najeży straszliwą —
Czyż łódź pokona olbrzyma?

ON nie drgnął... czem mu orkany?
Byle łódź parły do wschodu;
Ach! orłom postrach nieznany —
ON kością z kości Narodu!

Przebrnął Atlantyk szeroki —
U brzegu zorze mu błysły.
Przez lasy, góry, potoki,
Rączo przybiega do Wisły.

Na Wawel pędzi w lot strzały —
Dał znak: wnet spiże zadzwonią —
Chwyta proporzec wspaniały,
Błysł na nim Orzeł z Pogonią.

„Hej za mną, kto w Boga wierzy!
„Byle nas była ćma duża“!
Głos od wiślanych wybrzeży
Zbiega doliny i wzgórza.

Szlachta za kordy pochwyca,
Kmiecie za cepy i kosy —
Chór wspólny „Bogarodzica“.
Uderza w jasne niebiosy.

I dziw nieznany na świecie —
Zadatek jutra bogaty:
Z kosami rzucą się kmiecie —
Wydarły wrogom armaty!

O takim, kto słyszał cudzie
Wśród długich dziejów pochodu?
ON duszę zbudził w tym ludzie,
Bo On kość z kości Narodu!

Próba to pierwsza: acz ziarno
Sto lat przeleży na roli —
Bóg przyjął siejbę ofiarną —
Plon z niej wybuja powoli.

ON odczuł kmiecą potęgę;
Żarem mu lica rozpłoną —
I przywdział kmiecia siermięgę
I rogatywkę czerwoną.

W siermiędze zdobył blask chwały
Kiedy, wśród krwawej topieli
Warszawę, gród nasz wspaniały —
Wyrwał ze smoczej gardzieli.

Lecz z piekłem sprawa nie lada;
Wróg! sojusz zawarł z szatany;
Z rąk wodza oręż wypada,
Krwi strumień trysnął przez rany.

Ale ON wiary nie traci,
Przyszłość nie sprawi zawodu;
ON drogowskazem dla braci,
ON kością z kości Narodu!

Pogromca szałem pijany,
Krwią zbroczonego, w niemocy,
Kuje w żelazne kajdany,
Wlecze na lody północy.

I przeszły lata w niewoli —
Z ran ledwie zostały blizny;
Ach! stokroć srożej GO boli
Hańba rozdartej Ojczyzny.

I znów przebiega dwa światy —
Gdzie stąpi, — tryumfy nowe —
Pod nogi sypią MU kwiaty,
Rzucają wieńce dębowe.

„Cóż po nich? — mrzonka daremna“ —
Głos szepce w piersi rozdartej —
Płaczą u Wisły, u Niemna,
Płaczą u Dniepru i Warty!

Lecz gwiazda za mgły pomrokiem
Dodaje sercu podniety; —
Skonał, ścigając ją wzrokiem,
Pod dachem brata Helwety. —

Naród, żałobą odziany,
Po trumnę dąży od wschodu,
Gdzie śpią przy królach hetmany,
Spocznie Bohater Narodu.

Zaszczyt to jeszcze zbyt mały —
Wieść bieży na wsie i miasta —
Lud z Polski garnie się całej,
I kopiec z ziemi wyrasta.

Sypią go kmiecie od pługa,
Męże, niewiasty i dzieci.
Niech cześć odbierze zasługa
Na pasmo przyszłych stuleci!

Niech TEN osłania gród stary,
Kto Polsce służył od młodu,
Pełen miłości i wiary,
KOŚCIUSZKO — chwała narodu!

HISTORYCZNY WÓZ.

Przed kilku laty Sejm pruski uchwalił ustawę, której celem było utrudnienie rozdziału większych polskich obszarów ziemi, między prywatnych Polaków lub polskie instytucye parcelacyjne. Ustawa ta nie zabrania wprawdzie parcelacyi ziemi, lecz czyni tworzenie nowych osad na miejscu rozsprzedanego w drobnych cząstkach większego majątku. zależnem od zezwolenia władz, względuie komisyi kolonizacyjnej. Według pierwotnego planu miała ona zapobiedz tworzeniu się nowych polskich osad lub wsi włościańskich tam, gdzieby to sprzeciwiało się celom komisyi kolonizacyjnej. Po uchwaleniu tej ustawy władze zaczęły ją stosować w jak najszerszej mierze. Od dłuższego już czasu władze stale zabraniają nabywcom parceli z rąk polskich i budowania domów na tych gruntach. Wielu włościan i robotników polskich, którzy pokupowali cząstki rozparcelowanych dóbr, znalazło się wobec tego w trudnem wprost położeniu. Posiadają oni ziemię, lecz nie wolno im zamieszkać na niej. Odwoływanie się do wyższych władz nie skutkuje; rządowi bowiem bardzo na rękę, że może zapobiedz w ten sposób tworzeniu się nowych włości polskich i uniemożliwiać parcelacyę polską.

Jeden z polskich włościan, niejaki Drzymała, pomógł sobie obecnie w ten sposób: Gdy mu nie pozwolono wybudować domu na nabytych przez siebie 15 morgach ziemi, wystawił tam stajnię i stodółkę, bo na takie budynki nie rozciągają się dotyczące przepisy, a dla siebie i rodziny nabył wielki wóz w kształcie wagonu, jakich używają wędrowni „artyści“ cyrkowi, do wozu tego wstawił piec, łóżka, stół i ławy i w nim zamieszkał na swej roli. Ponieważ to nie jest dom stały, lecz wóz, władze nie mogą stosować tu owej ustawy, i tak Drzymała mieszka na swej ziemi w domku na kołach.

Jak donoszą dzienniki poznańskie, wielu innych nabywców polskich parcel, znajdujących się w podobnem położeniu, zamierza naśladować Drzymałę. Rychło więc zapewne przejeżdżającym przez zabór pruski niezwykły przedstawiać się będzie widok, widok osad polskich — na kołach.

Sprawą tą zajmuje się obecnie także prasa niemiecka. Znakomity wprost artykuł o tem znajdujemy w bezstronnych niemieckich dziennikach. Oto co pisze jeden:

„Czy rząd takiem postępowaniem doprowadzi politykę swą do zwycięstwa?

„Z pewnością nie, a możemy raczej przepowiedzieć, że stanie sie wręcz przeciwnie. Wóz, który rodzinie Drzymały służy za mieszkanie, stanie się sławnym po całym świecie, wóz ten powiększy sympatye dla Polaków u wszystkich wolnych ludów, a podkopie ogromnie znaczenie pruskiej antypolskiej polityki.

„Mądra polityka nie dopuściłaby do takich ostateczności, które stosunki pruskie w tak smutnem świetle całemu światu przedstawiają. Chodzi bowiem w tym wypadku o fakta, które żadnego objaśnienia nie potrzebują. Człowiek ów musi mieszkać z żoną i dziećmi w wozie, ponieważ władze pruskie dlatego, że jest Polakiem, zakazują mu pobudowania mieszkalnego domu na własnej ziemi. Fakt ten jest tak przekonywujący swą brutalnością, że nie zatrą go wszyscy ministrowie i wszyscy członkowie Towarzystwa dla kresów wschodnich żadnemi wybiegami, ani upiększeniami. Cały świat odpowie, że ustawa, która takie wypadki wywołuje, a choćby tylko możliwemi czyni, jak najprędzej usuniętą być musi, i że każdy wolność miłujący człowiek w Prusach wstydzić się powinien takich stosunków“.

Życzyć wypada, ażeby przepowiednia ta ziściła się jak najprędzej. Może nawet dobrze się stało, że ten wóz włościanina polskiego pojawił się na widowni politycznej — w chwili, gdy rząd pruski przygotowuje nową barbarzyńską ustawę przeciwko ludności polskiej.

Rocznica Wincentego Pola.

Sto lat minęło od urodzin poety, którego życie płynęło w wielkiej epoce odrodzenia polskiego.

Był on śpiewakiem pragnień i trosk narodu, jego bólów i tego, co naród umiłował, co czcił, za co walczył i krew przelewał.

Nuta jego poezyi rzewna, gdy śpiewa o utraconej swobodzie i wadach narodu — poeta rzadko w uniesieniu smaga te wady, raczej

*

im pobłaża. Ta nuta nabiera mocy i potęgi, siły porywającej, gdy pieśń jego uderza w ton chwały swojej ziemi, przywiązania do niej i nadziei na przyszłość.

Pieśń jego krzewi serdeczną miłość do ziemi naszej, do zwyczajów i obyczajów naszych, do przeszłości i budzi nadzieję. Ta pieśń wyśpiewana jest z serca naszego narodu — za to czczono poetę, za to czcimy go dziś.

Życie Wincentego Pola, to ciekawa karta. Kto wejrzy głębiej w życie i dzieła, dające nam obraz człowieka i poety, ten nieraz uchyli czoła, przed nie tak wielkim poetą, lecz zato przed dziwnie szlachetną postacią i czystym charakterem. W życiu tak barwnem, tak bujnem, każdy znaleść może „ziarno dobrego posiewu" — w które poeta wierzył tak gorąco, że zejdzie — i do własnej duszy je przenieść. Odczuwszy myśl, duszę poety, wszystkie jej pragnienia i tę gorącą miłość do ziemi ojczystej i wszystkiego, co polskie, oddamy największy hołd, jaki poecie złożyć można!

Wincenty Pol ur. się 20 kwietnia 1807 r. w Lublinie. Ojciec jego, Franciszek Pol, pochodził z rodziny niemieckiej, matka Eleonora z Longchamps z rodziny francuskiej osiadłej we Lwowie. Tak więc krew obca płynęła w Polu po ojcu i po matce — a poeta żył, pisał, jakby najczystsza krew polska płynęła w nim z dziada pradziada.

Dusza i myśl w poecie nawskróś polska, narodowa, lecz nawet postać jego zewnętrznie nie ma śladu obcego pochodzenia; z zawiesistego wąsa, z postawy zdaje się być urodzonym do kontusza.

Przeminęły poety lata dziecięce, wśród nauki domowej uzupełnionej przez życie, wśród ciekawych typów przyjaciół ojca: pana Benedykta Winnickiego i wielu innych składających się na żywą kronikę XVIII w. Przesiąknięci tradycyą, przesuwają się przed oczyma młodziutkiego chłopca jak barwny obraz, karmiąc wyobraźnię jego opowiadaniami z ubiegłych lat.

Lata uniwersyteckie Pola, to praca nad samym sobą, to praca nad językiem polskim i literaturą polską, to wyrobienie hartu duszy.

W tym czasie poeta pokochał Kornelię Olszowską, lecz poślubia ją dopiero po 10-ciu latach narzeczeństwa.

Rok 1830 zastaje poetę we Wilnie jako zastępcę nauczyciela języka niemieckiego na uniwersytecie. Rok ten wraził się w duszę poety, kiedy ujrzał się w głębi lasów z bronią w ręku. Jako młody ułan w oddziale jen. Chłapowskiego roznosił raporta, zasięgał wiadomości — młody poeta patrzył na przyrodę litewską, lud i chaty. Po upadku powstania odznaczony krzyżem za waleczność, udaje się do Drezna — tu pieśni Janusza otwierają mu serca wszystkich znakomitości polskich.

Przez Księstwo, t. j. Miłosław, Turwię, doznając gościnności w domu uwielbianego jen. Chłapowskiego wrócił poeta do rodziny — lecz życie nie płynie mu spokojnie. Widzimy poetę jeżdżącego po kraju, zwiedzającego Tatry, wreszcie w Kalenicy osiadłego na ukochanej roli.

W 1846 roku padł ofiarą rozbestwionego tłumu. Napadnięty we dworze u przyjaciela Trzecieskiego, wraz z bratem Józefem i Trzecieskim skatowany, ranny dostał się do więzienia. Uwolniony, jako redaktor „Biblioteki Ossolińskich", pracuje literacko i społecznie. W 1849 r. zostaje profesorem geografii na uniwersytecie krakowskim, lecz nie podoba się rządowi i traci posadę. Zaczynają się lata coraz cięższe. Kłopoty o byt, o los dzieci, śmierć żony i matki, wreszcie utrata wzroku — słowem żywot bolesny.

Zakończa życie 2-go grudnia 1872 roku w Krakowie.

* * *

Wywołując postać poety z cieniów przeszłości, z zapomnienia, chcemy dziś uczcić w nim to, co było w nim najlepszego — te skarby uczucia dla ziemi rodzinnej.

Pieśni Janusza, wyrwane z serca narodu, do dziś dla nas żywe i piękne, to nić zadzierzgnięta miłości dla ziemi rodzinnej, odtąd przewijająca się przez wszystkie dzieła poety.

Wrażenia wyniesione z chat każą poecie lud otoczyć braterską miłością i wierzyć, że przyszłość nasza będzie świetna, „potężna jak lud kmiecy, co ją dźwignie swemi plecy".

Osiadłszy na wsi w Kalenicy, oddał się pracy nad ludem i dla ludu. Zakładał szkoły, budował chaty, stawiał mosty, nosił lekarstwa chorym, pomoc ubogim i pokrzywdzonym.

Poeta patrzył w przyszłość, ale myśl jego chętnie zwracała się ku przeszłości i z niej brała tematy do swych gawęd i pieśni. To też śpiewa „przeszłe koleje" Słowian.

Ze wspomnień przeszłości pisał poeta gawędę: „Pachole Hetmańskie“ — z własnych wspomnień „Przygody Pana Benedykta Winnickiego“.

Poeta miał poza sobą długie lata służby narodowej — w jego obronie stanęło życie i praca.

Mógł o sobie powiedzieć, że dotrzymał przysięgi, złożonej w młodości: „wiernie służyć wiernej sprawie“, bo do ostatniej chwili wiernie służył Kościołowi i sprawie narodowej.

Miłość Boga i Ojczyzny górowała u poety nad wszystkiemi uczuciami — dwa te uczucia najszlachetniejsze budziły szereg innych cnót. Przyjacielski, szczery, prawy, czy dla dobra kraju, czy dla przyjaciół, zawsze był gotów ponieść ofiarę.

Był to człowiek pracy. Wiecznie czynny, tak jak przez młodość przeszedł wśród pracy i walki, tak i ostatnie lata przedśmiertne umie wypełnić pożytecznie. Należał do towarzystw, pisał artykuły, miewał wykłady, to o literaturze polskiej, o muzyce kościelnej, a każda praca była ożywiona duchem patryotycznym. Polska nie schodziła z ust jego — wszędzie i zawsze myśl poety wytężona, jakby jej chwały i dobra przyspożyć.

Wielki lubownik muzyki odczuwał jej piękno i słyszał ją w naturze.

To poczucie muzyczne przebija w piosenkach, które się same proszą o nutę. Proste i śpiewne rozniosły sławę jego szeroko.

Poeta uczuciem zdobył naród!

On rzeczywiście spłacił „dług społeczny“ wobec Ojczyzny, bo do skarbnicy narodowej naszej wniósł daninę swego ducha i pracy, a wniósł ją tak ofiarnie jako szczytnie pojęty obowiązek! Jeśli komu, to Polowi należą się jego słowa własne z nagrobka Romaszkana: „A jako żeniec odpoczął po żniwie, Na pełnych kłosach dobrego żywota“.

Wreszcie Skałka otwarła przed prochami jego podwoje i spoczął w grobach zasłużonych.

Czem dziś jest Pol dla nas, zapytać należy. To przewodnik po ziemi naszej, to wzór niestrudzonego pracownika dla niej.

Są prawdy niewzruszone, dla których czas nie ma znaczenia. I my dziś tak samo czujemy, jak czuł Pol, że „czem gorsze położenie narodu, tem bardziej w służbie wytrwać potrzeba“.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Na tron polski, opróżniony wskutek zbójeckiego czynu Brandenburczyków, zaprosili Wielkopolanie księcia sieradzkiego Władysława, z powodu małego wzrostu, jakim się odznaczał, „Łokietkiem“ zwanego. Łokietek był szwagrem zamordowanego króla Przemysława, za żonę bowiem miał siostrę jego Jadwigę. Mały ciałem tak, że żartowano z niego, iż niewiele więcej jak łokieć na wysokość mierzy, wielki był duchem, potężny niezłomną wolą i przywiązaniem do ojczystej ziemi.

Dowody przywiązania tego dał po śmierci Leszka Czarnego, gdy stawał wytrwale w obronie ziemi krakowskiej przeciw uroszczeniom zniemczonego księcia wrocławskiego Probusa, a następnie przeciw Czechom.

Powołany przez ziemian krakowskich na księcia, znalazł śmiertelnego wroga w niemieckich mieszczanach krakowskich, którzy sprowadzeni niebacznie po napadach mongolskich i tatarskich, przez Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, tak się rozpanoszyli w podwawelskim grodzie, że śmieli sprzeciwiać się woli narodu i rozrządzać książęcym tronem. Sprowadzili przeciw Łokietkowi, którego jako prawego Polaka ogromnie się bali, najpierw zniemczonego księcia wrocławskiego Henryka Probusa, następnie zaś króla czeskiego Wacława.

Łokietek, władca małego księstwa sieradzkiego, nie mógł oprzeć się potędze czeskiej. Pomimo walecznej obrony, Wacław wydarł mu w r. 1293. ziemię krakowską i spustoszył ogniem i mieczem księstwo sieradzkie. Nie złamany tem Łokietek, walczył dalej przeciw Czechom, prowadząc przeciw nim, ze zmiennem szczęściem, wojnę podjazdową.

Wybór na króla polskiego niewiele polepszył jego położenie. Dał mu wprawdzie władzę nad Wielkopolską i Pomorzem i na pozór uczynił potężnym, ale zarazem włożył na niego ciężkie obowiązki. Do Pomorza rościli sobie pretensye margrabiowie brandenburscy i książe szczeciński Bogusław, do Wielkopolski zaś Henryk książe głogowski.

Łokietek mężnie stawiał czoło tym prze-

ciwnościom i przebiegając na czele swoich wojaków Polskę od Krakowa do brzegów Bałtyku, zwycięsko gromił najezdników.

Ciągła jednak wojna i nierozłączne od niej nieszczęścia, spustoszenia i niedole, zaczęły się przykrzyć Wielkopolanom, Czesi zaś zaniepokojeni wzrostem potęgi Łokietka, zaczęli się starać o pozyskanie stronników w Wielkopolsce, szerzyć niezadowolnienie przeciw Łokietkowi i rozpowszechniać mniemanie, iż pod rządami króla czeskiego Wacława, byłoby Polakom daleko lepiej, już z tego powodu, że ustałaby ciągła wojna z Czechami.

Cały naród polski, znękany skutkami nieszczęśliwego podziału kraju na dzielnice, pragnął zjednoczenia pod jednym władcą, któryby skutki te usunął i przywrócił Polsce dawną potęgę i dobrobyt. To też podszepty czeskie oddziałały na Wielkopolan. Zdawało się im, że uznając Wacława za króla polskiego, łatwiej, bo w drodze pokojowej zjednoczą polskie dzielnice.

Mniemanie to stało się wnet tak powszechnem, że na zjeździe, odbytem w Poznaniu, wypowiedzieli Wielkopolanie posłuszeństwo Łokietkowi i zaprosili na tron króla czeskiego.

Wacław nie dał się prosić; na czele licznego wojska czeskiego wkroczył do Wielkopolski i odbywszy tryumfalny wjazd do Gniezna, ukoronował się na króla polskiego.

Łokietek, opuszczony przez wszystkich, musiał z Polski uchodzić. Było to w r. 1300. W Rzymie odbywał się powszechny jubileusz, z powodu tak zwanego „miłościwego lata“ t. j. roku wiek kończącego. Do Rzymu spieszyły krocie tysięcy pielgrzymów. Podążył tam także nasz Łokietek.

W owe czasy papieże rzymscy mieli ogromną władzę moralną nad królami i książętami chrześcijańskimi i uważani byli za szafarzy panowania i godności monarszej. Zasiadający właśnie na rzymskiej stolicy papież Bonifacy VII. przestrzegał pilnie, by uznawano tę władzę moralną papieży i korzono się przed nią.

Łokietek wiedział, że Bonifacy VII. życzy sobie, ażeby po zmarłym świeżo królu węgierskim Andrzeju, wstąpił na tron Madjarów Karol Robert, królewicz neapolitański i że oburzony jest na Wacława czeskiego, który nie zważając na życzenia papieża, osadził na tronie tym swojego własnego syna. Nie wątpił także, że oburzenie to powiększy niemało świeżo odbyta koronacya Wacława w Gnieźnie, bez wiedzy i zezwolenia papieża.

Pełen więc otuchy dążył do Rzymu i nie zawiódł się w swoich nadziejach. Bonifacy VII. przyjął królewskiego pielgrzyma łaskawie i odprawił przyrzeczeniem usunięcia Wacława z tronu polskiego.

Łokietek udał się z Rzymu do siedmiogrodzkiego wojewody Amadeja, stronnika Karola Roberta i odpocząwszy u niego po trudach podróży, przedostał się na czele garstki wiernych rycerzy przez góry Karpackie do Polski. Tu jednak przekonał się, że nie czas jeszcze na rozpoczynanie boju przeciw Czechom. Powrócił więc do Amadeja i w gościnnym domu jego oczekiwał sposobniejszej do działania chwili.

Tymczasem król Wacław i Czesi, wbrew woli i interesom swoim, pracowali w Polsce gorliwie nad przyspieszeniem tej chwili.

Już sama osobistość Wacława wywarła na Wielkopolanach i w ogóle na Polakach, jak najgorsze wrażenie; król ten bowiem chociaż lubiał się otaczać świetnym rycerskim orszakiem i wszelkimi pozorami rycerskości, był człowiekiem nawskróś zniewieściałym i nad wyraz tchórzliwym. Widok kota wprawiał go w omdlenie — grzmotów zaś, piorunów, błyskawic, tak się obawiał, że gdy zbierało się na burzę, właził do skrzyni, wylepionej zewnątrz i wewnątrz relikwiami, oraz obrazkami świętymi, kazał nad sobą odmawiać modlitwy i sam się modlił, drżąc ze strachu. Skrzynię tę wszędzie za Wacławem wożono. Bez niej na krok się nie ruszał.

Nabożnym był bardzo, nabożność ta jednak polegała wyłącznie na bezmyślnem odmawianiu niezliczonej ilości pacierzy. Przy każdej sposobności: gdy sobie czego życzył, czego obawiał, lub co zamierzał, ślubował król Wacław odmówienie większej albo mniejszej ilości modlitw. Przy częstem ponawianiu takich ślubów, nagromadziły mu się niezmierne ilości pacierzy do odmówienia tak, że obliczono, iż chociażby żył lat sto, nie zdoła wypełnić swoich ślubów. Aż u papieża musiał starać się Wacław o zwolnienie go od przyjętych w tym względzie zobowiązań.

Pozorna ta pobożność nie przeszkadzała mu w zamiłowaniu do uczt, biesiad i wesołej a nieraz rozpustnej zabawy. Nie chroniła go także przed niezmierną próżnością i okrutnem, nieludzkiem postępowaniem z przeciwnikami i nieprzyjaciółmi.

Naturalnie, że taki król nie mógł się podobać Polakom, ani zjednać sobie poważania wśród rycerskiego, w bojach zahartowanego, polskiego społeczeństwa.

Jeszcze bardziej zniechęciło naród gospodarstwo czeskich urzędników. Wacław bowiem wkrótce po koronacyi odjechał do czeskiej Pragi, a w Polsce ustanowił najpierw jednego, później, gdy ten zanadto obdzierał naród, trzech namiestników, Czechów. Ci, przyzwyczajeni do niemieckich, w ojczyźnie ich panujących porządków, zaczęli nakładać niebywałe w Polsce podatki, uciskać ludzi, drzeć i wyciskać z nich, co się tylko dało. By nikt nie mógł sprzeciwiać się uciskowi, zalał Wacław cały kraj wojskiem czeskiem i poobsadzał niem wszystkie miasta i grody, a wojsko to, złożone z najemnej hałastry, wybrykami swoimi czyniło ucisk jeszcze cięższym i nieznośniejszym.

Taka gospodarka niemiecka czeskich urzędników tem przykrzejszą się wydawała Polakom, że u nas nigdy przedtem, nawet za Mieczysława Starego, podobnego ucisku nie zaznano a Polska przecież nie była krajem przez Czechów podbitym, jeno dobrowolnie wybrała sobie Wacława na króla.

Niezadowolenie powszechne jeszcze bardziej wzrosło, gdy w r. 1302. napadli Polskę Litwini do spółki z księciem halickim i Tatarami, a liczne wojsko czeskie patrzyło na to obojętnie tak, że szlachta krakowska i sandomierska urządziła sama pospolite ruszenie i na polach lubelskich odniosła świetne zwycięstwo nad najezdnikami.

Gdy tak Czesi zaskarbiali sobie coraz większą niechęć wśród Polaków, papież Bonifacy VII. wydał wyrok, odsądzający Wacława od korony polskiej, a syna jego od węgierskiej, poruczając zarazem wykonanie wyroku tego cesarzowi niemieckiemu Albrechtowi. Wskutek tego wybuchła wojna przeciw Wacławowi w Czechach i we Węgrzech, a Łokietek, korzystając z niej, wkroczył w Krakowskie. Przyjęty radośnie przez ludność wiejską opanował wnet grody: Pełczyska, Wiślicę, Lelów i rozpoczął orężną walkę przeciw Czechom.

Walka ta długo trwała, aż gdy w r. 1305. umarł Wacław, a cały naród powstał przeciw Czechom, wyparto ich z Polski i Łokietek zasiadł ponownie na polskim tronie.

Zasiadł, ale nie spoczął — gdyż wiele jeszcze miał trudności, kłopotów i przeciwności do zwalczenia.

Wielkopolska uwolniona od Czechów, zamiast uznać Łokietka za króla, powołała na władcę swojego Henryka, księcia głogowskiego i dopiero po śmierci jego poddała się Łokietkowi. Poddanie to nie obeszło się bez boju, gdyż mieszczanie poznańscy, Niemcy, sprowadzeni i otoczeni opieką przez Bolesława Wstydliwego, stawili opór zbrojny i trzeba ich było orężem do uległości przymusić.

Mniej pomyślnie ułożyły się wypadki na Pomorzu.

Łokietek porządkując wewnętrzne sprawy Polski, zaprowadził także nowe porządki w tej dzielnicy. W czasach osłabienia Polski, wskutek podziału na dzielnice, rozwielmożnił się na Pomorzu ród Święców, zagarnął wszystkie ważniejsze urzędy i trząsł całą tą dzielnicą. Nie podobało się to królowi, tembardziej, że dochodziły go wieści, o zbyt poufałych stosunkach Święców z margrabią brandenburskim Waldemarem, który czyhał tylko na sposobność zagarnięcia Pomorza. Więc ukrócił władzę Święców i dla lepszego dopilnowania spraw państwa, obsadził swoimi zaufanymi najważniejsze grody pomorskie: Gdańsk, Świec i Tczew.

Nie podobało się to Święcom, to też po odjeździe królewskim porozumieli się z Waldemarem i wpuścili wojska jego po cichu na Pomorze, tak, iż w rękach polskich pozostały tylko trzy wyżej wymienione grody.

Stało się to tak po cichu, że znajdujący się właśnie w Sandomierzu Łokietek, dowiedział się o wszystkiem dopiero od jednego z komendantów Gdańska, Bogusza, który przybył do króla z żądaniem odsieczy przeciw oblegającym Gdańsk wojskom Waldemara.

Łokietek, nie mając na razie dostatecznej siły zbrojnej do pospieszenia Gdańskowi na ratunek, posłuchał nieszczęśliwej w najwyższym stopniu rady Bogusza, by wezwać pomocy Krzyżaków, jako lenników polskich.

Krzyżacy rzeczywiście obowiązani byli do udzielania Polsce takiej pomocy. Nie udzielali jej jednak dotychczas nigdy, nawet w najcięższych dla Polski czasach, nawet przeciw Tatarom i Mongołom, chociaż zadaniem ich była walka z poganami. Co prawda, to i nie żądała od nich Polska nigdy pomocy, bo znała ich jako łupiezców, zdzierców, a zarazem wrogów wszystkiego, co polskie. Dziwnem więc jest niezmiernie, że tak rozważny i mądry król, jak Łokietek poszedł za tak

nierozważną radą, dziwnem tem więcej, gdy nietylko wobec Polski, ale tak samo względem wszystkich swoich sąsiadów, jak np. biskupów rygskich, okazywali się Krzyżacy krwawymi łupiezcami.

Przyjmowanie pomocy od Krzyżaków było tak niebezpiecznem, że lepiej było utracić Gdańsk na rzecz Waldemara, od którego snadniej możnaby go było odzyskać, aniżeli od przeniewierczego i wykrętnego Zakonu.

Stało się jenak inaczej. Bogusz z polecenia królewskiego zawarł układ, mocą którego Krzyżacy mieli wespół z załogą polską bronić przez cały rok zamku gdańskiego, za zwrotem poniesionych z tego powodu kosztów.

Jakoż weszły natychmiast do oblężonego grodu posiłki krzyżackie pod wodzą komtura chełmińskiego Guntera ze Szwarcburga. Przy ich pomocy obroniono zamek, zmuszono Waldemara do ustąpienia z Gdańska i ukarano sprzymierzonych z nimi Święców. Drogo jednak okupiono to zwycięstwo; Krzyżacy bowiem już więcej z Gdańska ustąpić nie chcieli. Sprowadzili potajemnie większe zastępy swoich żołnierzy, wyparli załogę polską z zamku i oświadczyli, że go nie oddadzą, aż po otrzymaniu zwrotu kosztów wojennych.

Łokietek pospieszył z ich wypłaceniem, Krzyżacy jednak zarządali sum tak olbrzymich, że stało się to niemożliwem. Chcąc zyskać na czasie, odwołali się do sądu polubownego, a tymczasem zawładnęli całem Pomorzem.

Zanim przyszło do tego sądu, oraz do wydania wyroku przez papieża, do którego udał się król polski ze skargą na Krzyżaków, zajęły go inne wydarzenia i sprawy.

Nieudały bunt zuchwałych Niemców poznańskich nie odstraszył od takiego samego kroku niemieckich mieszczan Krakowa. Niedługo po uśmierzeniu poznańskich niepokojów, korzystając z nieobecności króla, zbuntowali się Niemcy krakowscy w r. 1311. pod przewodnictwem wójta Alberta, oraz zniemczałego Wrocławianina, biskupa Muskaty i wpuścili do Krakową opolskiego księcia Bolesława. Na szczęście zamek królewski na Wawelu obsadzony był polską załogą, gdy więc król Łokietek zjawił się pod murami miasta na czele wojska i wezwał Opolczyka, ażeby natychmiast z Krakowa ustąpił, ten nie czując się na siłach do stawienia oporu, posłuchał rozkazu i uszedł do Opola, zabierając ze sobą wójta Alberta. Łokietek zajął miasto, oddał pod sąd naczelników buntu i kazał do nich zastosować prawo magdeburskie, któremu na mocy przywilejów swoich podlegali, jako mieszczanie krakowscy. Było to dla nich straszną ironią losu. Prawo magdeburskie bowiem, jako niemieckie, było nadzwyczaj srogie i zawierało kary okrutne, jakich prawo polskie całkiem nie znało. To też przekonani o zbrodnię buntu, poginęli według swojego prawa okrutną śmiercią.

Biskup Muskata, nie podlegający prawu magdeburskiemu, poszedł ze względu na swoje stanowisko duchowne tylko na krótki czas do więzienia, a kara jego ograniczyła się do utraty dóbr Biecza na rzecz skarbu narodowego.

Wójt Albert wreszcie uwieziony przez Bolesława do Opola, przesiedział tam pięć lat w niewoli i dopioro po złożeniu sowitego okupu, oswobodziwszy się z niej, uszedł do Czech, gdzie w biedzie życia dokonał.

Bunty niemieckich mieszczan miały tę dobrą stronę, iż odsłoniwszy ich niewdzięczność i zawiść ku polskości, spowodowały ukrócenie przysługujących im zbyt wybujałych przywilejów, ich zarozumiałości i zuchwalstwa.

Pokonawszy wrogów domowych i uporządkowawszy wewnętrzne sprawy kraju, Łokietek ukoronował się w styczniu 1319. r. wraz z żoną swoją Jadwigą na Wawelu w Krakowie. Odtąd Wawel stał się miejscem koronacyjnem królów naszych.

Jeszcze tylko sprawa Pomorza uporządkowaną nie była. Spór z Krzyżakami o podstępne zagarnięcie tej dzielnicy, pomimo przychylnego dla Polski wyroku sądu papieskiego, przeciągał się w nieskończoność. Wkrótce przekonał się Łokietek, że sprawa ta tylko z orężem w ręku da się załatwić. Postanowił więc w celu zapewnienia sobie zwycięstwa pozyskać sprzymierzeńców przeciw Krzyżakom. W tym celu wydał córkę swoją Elżbietę za króla węgierskiego Karola Roberta, a syna Kazimierza ożenił z Aldoną, córką władcy Litwy Gedymina. W ten sposób zapewnił sobie pokój ze strony Węgier na całej południowej granicy polskiej wzdłuż gór Karpackich, a w Gedyminie pozyskał potężnego sprzymierzeńca przeciw Krzyżakom, pod rządami Gedymina bowiem Litwa, do niedawna jeszcze kraj mały, ściśnięty posiadłościami polskiemi i krzyżackiemi od zachodu, od wschodu zaś, północy i południa księstwami ruskiemi, stała się wielką i potężną. Gedymin odparłszy zwycięsko zaborcze

zakusy Krzyżaków, zwrócił się przeciw posiadłościom książąt normandskich, ruskimi zwanych, we wschodniej Polsce i w krótkim czasie opanował Wołyń i Ukrainę, nie przewidując, że zaborem tym przygotowuje powrót tych ziem na łono Polski.

Upewniwszy sobie sprzymierzeńców, Łokietek rozpoczął orężną walkę przeciw Brandenburczykom i Krzyżakom.

Brandenburczyków zgromił zwycięsko w r. 1326. i przymusił do zawarcia pokoju. Wojna z Krzyżakami długo trwała. Zakończyło ją świetne zwycięstwo, odniesione nad przeniewierczem Zakonem pod *Płowcami* dnia 27 września 1331. r., gdzie potęga krzyżacka pierwszy śmiertelny cios otrzymała, oraz wyprawa zwycięska w Chełmińskie, która w r. 1332. zmusiła Krzyżaków do upokorzenia się i proszenia o rozejm.

Król Władysław Łokietek umarł dnia 2 marca 1333. r., pozostawiając Polskę zjednoczoną w jej głównych, rdzennych dzielnicach. On, który przebył tyle zmiennych kolei, tyle niedoli i przeciwności, dzięki niezłomnej woli i wytrwałości doczekał się dni tryumfu Polski. On wydobył ojczyznę naszą z odmętów rozbicia i niedoli, w jakie wtrącił ją nieszczęsny podział kraju pomiędzy synów Bolesława Krzywoustego i postawił Polskę na drodze do świetnego rozkwitu i potęgi. Więc tytuł zbawcy ojczyzny słusznie mu się należy. *Inż. E. Śmiałowski.*

XI Międzynarodowy kongres przeciw alkoholizmowi

w Sztokholmie.

Od dnia 28 lipca do 3 sierpnia obradował w Sztokholmie XI. międzynarodowy kongres przeciw alkoholizmowi przy nadzwyczaj wielkim udziale (1125) delegatów z wszystkich stron świata. Poszczególne państwa europejskie i niektore amerykańskie miały swoich przedstawicieli.

Rzut oka na przebieg kongresu wskazuje szereg prac gruntownych, jako długotrwałych dokładnych badań uczonych. zajmujących się pilnie sprawą alkoholizmu. Wyniki te to powtórzenie dawniejszych dochodzeń, uzupełnienie ich, lub nowe spostrzeżenia. Niepodobnem jest w krótkości dać szczegółowego sprawozdania z obrad kongresu. Referentów bowiem było ogółem 76. Ażeby obrady kongresowe przyniosły uczestnikom korzyści, podzielono prace na trzy działy: ogólny, naukowy i ludowy. Na ogólnych zebraniach były wykłady popularne, na naukowych zaś wymagające obszerniejszych specyalnych wiadomości; na zebraniach ludowych wykładano po szwedzku.

Bardzo wielką wagę przypisywał kongres wychowaniu młodzieży w zasadach wstrzemięźliwości. Kilka zebrań poświęcono rozprowadzeniu myśli: „Zadania szkoły we walce z alkoholizmem“. Wywody referentów były mniejwięcej następującej treści: Wobec faktu, że używanie alkoholu u młodzieży szkolnej częstem a smutnem jest zjawiskiem, pociągającem bezsprzecznie za sobą wielkie szkody fizyczne, duchowe i moralne dziecka, żądać należy od szkół, ażeby wychowanie młodzieży w zupełnej wstrzemięźliwości od alkoholu bezwzględnie uznały i wobec tego postępowały. Szkoła, która żądaniu temu się opiera, nie wypełnia sumiennie obowiązków swoich wobec oddanej jej opiece młodzieży i staje w przeciwieństwie z własnem zadaniem. Wychowanie bezalkoholowe rozciągać się powinno nietylko na właściwy wiek dziecięcy, ale trwać powinno, zwłaszcza dla fizyologicznych przyczyn, także przez cały czas aż do zupełnego rozwoju ciała, czyli że także starsza młodzież w szkołach wyższych, ze względu na rozwijające się siły, od używania alkoholu zupełnie wstrzymać się powinna. Jeżeli zaprowadzona zostanie w szkołach nauka wykazująca szkodliwość i niebezpieczeństwo używania alkoholu, młodzież sama wyrzeknie się upajających napojów w poczuciu obowiązków wobec samej siebie i wobec swojej ojczyzny.

Na jednem z zebrań powzięto w tej sprawie następującą rezolucyę: „XI. międzynarodowy kongres przeciw alkoholizmowi popiera żywo wszelkie prawne przepisy, zmierzające do zupełnego usunięcia alkoholowych napojów z użycia wśród młodzieży“.

Wielkie zajęcie wzbudziły wywody Forela, znanego uczonego, dotyczące wpływu alkoholu na potomstwo. W zajmującym wykładzie p. t. „Alkohol a zagadnienia seksualne“ wykazywał statystycznie stwierdzone zwyrodnienie dzieci alkoholików, ich zboczenia cielesne

i umysłowe i różne choroby (suchoty nerwowość, obłąkanie, idyotyzm, epilepsya, skłonność do zbrodni i t. d.) jako następstwa alkoholizmu rodziców. Popęd seksualny pod wpływem alkoholu staje się dzikim i niskim i szuka zaspokojenia w najpodlejszy sposób. Stąd prostytucya i złączone z nią choroby weneryczne, które w dalszych pokoleniach tyle szkody wyrządzają.

Wiec oświatowy
w Oświęcimiu.

Ciemnota, alkohol, rozbicie na stronnictwa i apatya, w jakiej pogrążony jest nasz kraj, wzbudza troskę i obawę o przyszłość u ludzi, którzy kochają swój naród i pragną jego uzdrowienia. — Różni w różny sposób pragną rozwiązać to trudne zadanie. — Podniesienie rolnictwa, rozwinięcie przemysłu krajowego, powstrzymanie emigracyi za Ocean i do Prus i wiele, a wiele innych sposobów, oto środki, któremi pragną podźwignąć kraj z upadku i ciemnoty.

Komitet zjazdu Czytelniczek i Czytelników „Przodownicy“ postawił sobie szerzyć oświatę przez urządzanie wieców oświatowych.

Pierwszy taki wiec, którego rycinę tu załączamy, odbył się w Oświęcimie z. m., a który pozostawił niezwykle miłe i niezatarte wspomnienie i pobudził uczestników do energiczniejszej pracy narodowej. — W wiecu tym, owianym niezwykle patryotycznym nastrojem, wzięła udział cała tutejsza kolonia oraz licznie przybyła ludność Śląska. Na obszerny program złożyły się utwory poetyckie A. Asnyka „Pobudka“, oraz Vrchlickiego „Nie dajmy się“, wygłoszone z przejęciem i werwą przez akademika p. Borelowskiego. Dalej odczyt „O stanowisku kobiety Polki w życiu społecznem i narodowem“, wygłoszony przez p. M. Magierę, delegata Związku Pracy Narodowej z Krakowa. Dalej barwne, nacechowane gorącą miłością ziemi ojczystej, oparte na porównaniach z ksiąg pielgrzymstwa polskiego, dłuższe przemówienie p. Janusza Dymka, del. Zw. Pr. Nar. z Krakowa „O Zadaniach Polski w dobie obecnej, potrzebie łącznej pracy oświatowej i stanowisko Macierzy śląskiej jako ostoi przed nawałą germańską i niesienie jej materyalnej pomocy“. Prócz tego odczyt p. Stanisława Witkowskiego del. Eleuteryi z Krakowa „O Związkach etycznych i odrodzeniu narodu przez powszechną abstynencyę [1]). Nadto szczere i serdeczne przemówienia miejscowych del. T. S. L. pp. Kulczyckiego, Krzeszótki i. t. d., które wywołały żywą dyskusyę, w której zabierali głos liczni delegaci i delegatki ze Śląska, podnosząc różne szykany i prześladowania ludności polskiej ze strony niemców za przywiązanie do ziemi ojczystej i należenie do towarzystw wstrzemięźliwości. Na zakończenie odśpiewano szereg pieśni narodowych i abstynenckich, które podnosząc narodowego ducha, pozostawiły niezwykle serdeczny przyjacieski nastrój w gronie uczestników wiecu.

Dodać wypada, że wynikiem obrad było uchwalenie szeregu rezolucyi jak: Bronienie ziemi ojczystej i praw narodowych, szerzenie miłości Ojczyzny i poznawanie dziejów Polski, branie udziału w każdej pracy narodowej i nie ustawanie w podjętych usiłowaniach, lecz pracować cierpliwie i wytrwale, szerzenie prawdziwej oświaty przez urządzanie wieców, zakładanie czytelń, prenumeratę uczciwych pism, zwalczanie alkoholu, jako największe zło narodowe. *M. T.*

O wodzie.

Że jedna woda jest dobra do picia, a druga nie, o tem wie każda gospodyni na wsi — ale musi już woda być bardzo niesmaczną lub doraźnie szkodliwą, żeby studnia dobrowolnie została zaniechaną — a i to jeszcze, jeżeli nie będzie zasypaną lub zabitą deskami, od czasu do czasu ktoś, komu się nie chce iść dalej, nabierze tej wody i zatruje swoje otoczenie.

A iluż to chorób możnaby uniknąć, gdybyśmy używali tylko dobrej i czystej wody.

Jaką wodę możemy nazwać dobrą? Rozebranie chemiczne wody przedstawia na wsi pewne trudności — przy wyborze wody kierujemy się zwykle smakiem. Dobra woda jest smaczną do picia, t. j. właściwie ona żadnego wybitnego smaku nie ma i dlatego

[1]) Wstrzemięźliwość.



Uczestnicy wiecu w Oświęcimiu.

nam smakuje — takiej też tylko wody powinniśmy używać do picia i do gotowania.

Gdyby obliczyć, ile rocznie kosztują ludzi choroby, wynikłe z picia niedobrej wody — tak jako wydatek na leczenie, jako też jako strata czasu zmarnowanego na chorobę (nie licząc już tego, co się człowiek najniepotrzebniej w świecie nacierpi) i gdyby czwartą część tego obrócić na dobre urządzenie studni, toby człowiek i nie cierpiał i sporo grosza zostałoby mu w kieszeni — a więc nie mają racyi ci, co mówią, że dobra studnia to rzecz kosztowna.

Robota około studni jest za ciężka dla kobiety — kobieta jednak często może dopilnować dobrego jej urządzenia — a zawsze prawie od kobiety zależy utrzymanie studni w czystości lub zanieczyszczenie jej — wszak kobiety najczęściej same wodę ze studni przynoszą — a już stan czystości naczyń użytych do wody, wyłącznie od kobiety zależy.

Chcąc mieć wodę czystą, przedewszystkiem trzeba się postarać, żeby przy każdej najzwyklejszej studni było wiadro przymocowane, tak, żeby tem czystem wiadrem nabierać wodę i nalewać w przyniesione naczynie. Jeżeli wskutek jakichkolwiek przyczyn nie da się wiadra stale przymocować, trzeba kubeł lub konewkę, którą się nabiera wodę, stawiać w chacie wysoko, na czystej często zmywanej desce, lub w czystym szafliku, sznur zaś (lepiej kulkę) do wyciągania kubła wieszać wysoko na haku i jeśli przypadkiem się zabrudzi, wpierw obmyć, nim się pogrąży w studnię.

Na to właśnie wiele gospodyń wcale nie zwraca uwagi. Wiadro czy konewkę stawia się gdziekolwiek, gdzie się zdarzy, i cały zebrany na spodzie brud, opłukuje się w studni, w tej wodzie, którą się bezpośrednio nabiera do picia.

Zdarza się widzieć takie wstrętne rzeczy, że wiadro z wodą stawia się na ziemi obok komina w miejscu, gdzie nieraz z całego tygodnia są uzgarniane śmieci, obok wiadra leży przywiązany do niego sznur, który wlepia się w te śmieci, lub upuszczony ku środkowi izby, bywa deptany przez wszystkie nogi, wszystkie buty, czy one poprzednio wyszły z gliny lub nawozu — dzieci małe posuwając się po ziemi, też sznur zanieczyszczają — nieraz kura a nawet prosiak postara się przylepić do niego też coś od siebie — następnie to samo wiadro z tym samym sznurem zapuszcza się w studnię, a opłukane z niego nieczystości nabiera się z wodą — i tę wodę wypija się lub używa do gotowania jadła. Czyż to nie wstrętne i czy to nie jest dobrowolne narażanie na chorobę rodziny całej? To samo można powiedzieć o naczyniu blaszanem, którem się wodę nabiera z wiadra czy też stągwi — i ono bywa stawiane na bardzo brudnych nieraz miejscach i do jego dna przylepiają się różne nieczystości a potem bezmyślnie opłukuje się go w wodzie przy nabieraniu.

Nie we wszystkich jednak wsiach i nie we wszystkich chatach takie obrzydliwości się dzieją; są gospodynie bardzo uważne i do przesady czyste pod tym względem (choć w czystości przesady być nie może), te powinny być naśladowane przez wszystkie sąsiadki.

A otoczenie studni — zdarza się widzieć, że studnia jest w takim dole, iż służy za ściek wszystkich nieczystości naokoło — gdzieindziej znów, choć jest troszkę wyżej, około studni powybijane są w koło dołki i dołeczki, w których zatrzymuje się woda, rozlewana przy nabieraniu; w dołkach tych pluszczą się kaczki, gęsi — a jeszcze, jeżeli obok ustawiono koryto do pojenia, w wydeptanych przez bydło wgłębieniach zbiera się nawóz i gnojówka, którą każda ulewa, czasem średni deszcz nawet spłukuje do studni — i dziwią się potem ludzie, dlaczego po deszczu woda cuchnie, a słabsi ludzie i dzieci chorują na żołądki — mówią nawet nieraz — a no po deszczu tak już być musi — i znoszą to spokojnie, zamiast pomyśleć, dlaczego tak jest i starać się złemu zaradzić.

Na to zaś łatwa rada: Cembrowina powinna być obsypana mocno ubitą gliną tak wysoko, żeby nic z zewnąrrz do studni ściekać nie mogło — dla zabezpieczeaia zaś tej gliny od wydeptania w niej wgłębień, dobre jest obić wkoło studnię ułożonemi pochyło gontami lub deskami — następnie urządzić ściek, odprowadzający wodę od studni w przeciwną stronę.

Dla zabezpieczenia studni od zanieczyszczania powinna być z wierzchu przykrywana. — Przykrywana studnia nie potrzebuje być oczyszczaną tak często jak nieprzykrywana a więc i koszt utrzymania jej się zmniejsza. Nie przykryta powinna być wybrana przynajmniej cztery razy do roku i oczyszczona ze wszystkiego, co w nią przypadkowo

lub rozmyślnie wrzuconem być mogło — przykryta oczyszcza się rzadziej.

Wybieranie studni może być dokonywane bardzo rzadko tylko tam, gdzie bierze się wody dużo ze studni a dopływa ciągle świeża, ale gdzie wody odchodzi mało tam ona tęchnie i często robi się niezdatna do użycia. Jeżeli woda mimo wybierania okazuje skłonność do stęchlizny, dobrze jest od czasu do czasu wrzucać do studni kawałek ałunu.

Po każdem wybraniu i oczyszczeniu studni, należy dno i boki studni skropić silnie świeżem rozrobionem wapnem.

Studnie murowane lepsze są niż drewniane, bo kamień w wodzie nie gnije i nie udziela złego smaku i zapachu wodzie, tak jak drzewo. Najlepsze zaś są z kamienia, układadanego na sucho, t. j. bez zaprawy — z takich studzien woda bywa najsmaczniejsza.

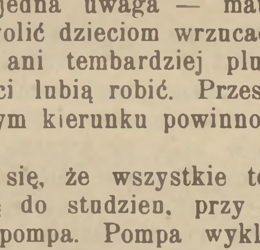
Bardzo dobre i wygodne a nawet względnie tańsze od innych są studnie betonowe, gdzie zamiast innej cembrowiny zapuszcza się w ziemię obszerne rury betonowe. Ziemię wyrzuca się tylko ze środka rury, a więc robota jest łatwiejsza i szybko postępuje, rura zaś w miarę wybierania ziemi, sama się zagłębia.

Jeszcze jedna uwaga — matki nie powinny pozwolić dzieciom wrzucać cośkolwiek do studni, ani tembardziej pluć na wodę, jak to dzieci lubią robić. Przestąpienie zaś zakazu w tym kierunku powinno być surowo karcone.

Rozumie się, że wszystkie te uwagi nie odnoszą się do studzien, przy których jest urządzona pompa. Pompa wyklucza zanieczyszczenie zewnętrzne studni.

Byłoby mocno pożądanem, żeby pomp było po wsiach jak najwięcej — gdyby nie poważna przeszkoda, że pompa często się psuje, a nie każdy kowal wiejski potrafi ją naprawić; zaś przy silnych mrozach nie działa, wskutek zamarzania wody w rurach.

K. P.



Zużytkowanie gorszych owoców.

Mało owoców mamy w naszym kraju, stanowczo za mało w stosunku do ludności (o tem jeszcze pisać będziemy) — niechże przynajmniej to, co mamy, będzie wykorzystane jak można najlepiej. Nic się zmarnować nie powinno — każdy choćby najmarniejszy owoc powinien być zużytkowany.

O użyciu opadków owocowych robiliśmy już wzmiankę przy przypomnieniach ogrodniczykh. Obecnie jest pora, że mamy najwięcej owoców w roku, — Zbierając je z drzew, mimo największej uwagi i staranności zawsze coś się poobija, coś popęka, sporo też jest owocu robaczywego – taki owoc długo przechować się nie da — chcąc zaś sprzedać, trzeba się go pozbyć za bezcen. Dlatego korzystniej jest sprzedać nie na surowo lecz jako przetwory owocowe.

Podajemy tu najłatwiejsze sposoby zużytkowania wszelkich wybrakowanych owoców.

I. Suszenie owoców.

Jeżeli niema specyalnych las drewnianych do suszenia owoców, można suszyć i na blachach, takich jak używamy do pieczenia ciasta. Trzeba tylko ułożyć na blasze słomy prostej, obcinając ją równo, tak długo jak długą jest blacha.

Owoce układa się na blachach tak jak i na lasach, cienką warstwą. Śliwki bierze się w całości; gruszki obierane, drążone i przekrawane na pół; jabłka obierane i krajane w plasterki.

Tak ułożone usuwa się z blachami lub lasami w piec po chlebie, uważając, żeby nie był za ciepły, gdyż owoce się upieką, sok z nich wycieknie, tracą na smaku i są prawie bez wartości.

Gdy piec ostygnie zupełnie, wyjąć blachy, napalić lekko w piecu (choć już może być cieplejszy), wymieść jak do chleba i wsunąć owoce, piec szczelnie zatchnąć.

Po ostygnięciu znów wyjąć z pieca, jeżeli jeszcze miękkie, to jeszcze napalić i wsunąć do pieca jak poprzednio.

Jeżeli schną nierówno, poprzewracać co suche i rozstawić, resztę zaś suszyć jeszcze dłużej, uważając jednak, żeby nie przypalić.

Poznaje się, czy owoce dobrze dosuszone, jeżeli są twarde i wydają dźwięk, podobny jak przy przesypywaniu orzechów.

Gdy są już zupełnie wysuszone, wsypywać w woreczki i wieszać u sufitu w przewiewnem miejscu.

Użytek z suszonych owoców jest przeróżny: można je jeść na sucho, używać na zupy, sosy, jako doprawa do mięsa — ugotowane i ocukrzone stanowią bardzo smaczną potrawę ogólnie lubioną a bardzo pożądaną przez chorych.

Można je też zawsze korzystnie spieniężyć, jeżeli są czysto ususzone i nieprzypalone.

Kto chce suszyć owoce na większą skalę np. w miej cach, gdzie daleko do kolei, a zbytu na owoc surowy niema, wygodniej jest kupić właściwą suszarnię, którą się stawia na każdej blasze w kuchni. W miejscach, gdzie opał drogi, nawet taniej wypada kupić suszarnię, niż kupować drzewo do pieca. Suszarnie takie zwane geisenheimskie wyrabia Rożański w Bochni.

Tam, gdzie się wieś cała zajmuje suszeniem, najlepiej wspólnym kosztem wybudować osobną suszarnię. Specyalnego objaśnienia, jak się używa takiej suszarni, udzieli zawsze ten, kto ją będzie stawiał.

2. Suszenie owoców na sposób francuski.

Zagotować owoce, dojrzałe i nierobaczywe, aż zmiękną, wtedy wyjąć, ułożyć na sicie, żeby ostygły i obsiąkły z wody. Następnie obrać delikatnie ze skórki i znów ułożyć na sicie, nad miską, w którą będzie ściekał sok z owoców. Kiedy sok odciekł i owoce trochę po wierzchu obeschły, układać na deseczkach, blachach pokrytych słomą, lub t. p. i wsuwać w ciepły (nie za gorący) piec po chlebie. Na drugi dzień wyjmuje się, macza każdą sztukę w sosie poprzednio zebranym od owoców, osypuje miałkim cukrem i znów wstawia do gorącego pieca. Powtarza się jeszcze raz tę czynność, dosusza owoce i układa w pudełka lub słoiki.

W ten sposób suszone owoce, nigdy zupełnie twarde nie będą. Są bardzo poszukiwane w handlu i za drogie pieniądze sprowadzane z Francyi — a tak łatwo możemy je przygotowywać w kraju.

3. Galareta z jabłek.

Pokrajać jabłka na kawałki, odcinając tylko części robaczywe lub zgniłe, włożyć w rondel lub garnek, zalać wodą o tyle, żeby pokryć jabłka, i gotować powoli, aż się czwarta część wody wygotuje. Wtedy zlać wszystko w czysty woreczek i powiesić nad czystym garnuszkiem, żeby sok odciekł. Przyciskać nic nie można. Gdy już sok przestał kapać, zlać go do rondla, zmierzywszy. Na litr soku wziąć $1^1/_2$ funta cukru, postawić na ogniu i gotować powoli mieszając, póki się cukier nie rozpuści, a potem szumując. Gdy się znów czwarta część wygotuje, odstawić od ognia i wziąć próbę t. j. ostudzić kilka kropel na łyżce, i spuścić jedną kroplę na ostrze noża, jeżeli się nie rozleje ale sztywno stoi, galaretka ma dosyć. Jeżeli odrazu się rozpływa na nożu, gotować dłużej.

Po ugotowaniu i przestudzeniu w połowie, zlać do słoiczków i owiązać pęcherzem. Gdyby po zupełnem ostudzeniu pokazało się że galaretka jeszcze rzadka, pozlewać do rondla i jeszcze trochę pogotować.

4. Ser z jabłek.

Jałka ugotowane, pozostałe po odlaniu od nich soku na galaretę, przefasować przez durszlak lub przetak, dołożyć cukru w miarę, zależy to od kwaskowatości jabłek, spróbować, żeby nie były za kwaśne — wsypać trochę utłuczonych i przesianych goździków i cynamonu — postawić na ogniu i gotować, ani na chwilę nie przestając mieszać drewnianą kopystką, żeby się nie przypaliło. Gdy już wysmaży się o tyle, że dobrze odstaje od rondla – ułożyć na płótnie, umoczonem w wodzie i dobrze wyciśniętem, zawinąć, związać jak ser i w prasie od sera przycisnąć. Trzymać w prasie trzy dni. Gdyby po wyjęciu był za mokry, ułożyć na deski i obsuszyć w piecu lub na słońcu.

5. Powidła ze śliwek.

Powidła można robić z każdego gatunku śliwek, ale najlepsze są z węgierek. Śliwki na powidła muszą być bardzo dojrzałe – jeżeli są mniej dojrzałe trzeba dodawać cukru.

Z małej ilości robić powideł nie warto, bo roboty przy nich bardzo dużo. Śliwki przeznaczone na powidła, rozrywać, wyjmu-

jąc pestki i odrzucając robaczywe, lub odkrawając zarobaczywione części.

Mieć kocioł ustawiony na dworze, oparty mocno na cegłach lub kamieniach tak, żeby można pod spodem palić ogień. Wrzucić weń śliwki i gotować, mieszając ciągle wielką kopyścią, gdy kocioł duży musi dwóch ludzi mieszać jednocześnie. Śliwki najpierw rozgotują się i rozrzedną; po 5-ciu godzinach gotowania, trzeba je zdjąć z ognia, przetrzeć na gorąco przez druciane sito lub przetaki i znów gotować, mieszając od tej chwili znacznie pilniej, gdyż im będą gęstsze, tem łatwiej się przypalą.

Gdy są już dostatecznie gęste, układać zaraz na gorąco w garnki, uważając, żeby nie zostawiać pustych miejsc i wstawić na noc do ciepłego pieca. Rano owiązać papierem. Sprzedawać najlepiej na wagę, wraz z garnkiem. *K. P.*

O sadzeniu ogrodowin i rydlowej uprawie.

(Dla kobiet).

W obecnych czasach bardzo wiele się słyszy narzekania na biedę, a szczególnie kobiet; a niemam dać co krowinie; niema nad czem wystrzykać (wydoić), niema czem z dziećmi żyć, niema czem okryć, niema na szczyptę soli, na kwartę krup i t. p., wszystko to prawda, przejść by się tylko po tych biednych chatach wsi górskich choć nieraz i na równinie znajdzie biedę i pomimo tego, że są lepsze zarobki, wszystko idzie do Prus lub do Ameryki, a jeszcze dość biedy między ludem, aż się serce krwawi. Skąd się to bierze? A no różne rzeczy składają się na tę biedę np. rozdrobnienie gruntów, brak fabryk w naszym kraju, ale przedewszystkiem brak oświaty, nauki dobrej, wszechstronnej, stąd niezaradność, stąd bieda, ubóstwo. Gospodynie bezradne, nie umieją tylko—jak to mówią barszcz, kapustę ziemniaki ugotować, a poza domem nie znają gospodarstwa rolnego, ogrodowego, nie wie żadna, jak nawóz zaszanować, jak ogrodowiny sadzić, jak każda piędź ziemi, szczególnie na małem kawałku, powinna być wyzyskana.

Niech wam na to posłuży przykład.

Zmarł pewien mały gospodarz; miał on drugą żonę, więc nie mógł jej dać nic z tego co pozostało po zmarłej jego pierwszej żonie, bo to było własnością dzieci, jednak, aby i tej żony nie zostawić bez sposobu do życia, kupił morg pola oddalony od wsi znacznie, wystawił chatę, ot izbinę i sień, no i tam po jego śmierci przeniosła się na mieszkanie z córką. Trafem zaszedłem do nich tak jakoś pod wiosnę. Widzę bieda, jak to mówią, cztery kąty a piec piąty; baba desperuje, że aż strach, więc jej mówię: bieda bo bieda, ale na biedę trzeba pomału radzić. Skoro nie macie cielęcia ani prosięcia, nie ma i nawozu, a na postnym gruncie nic się nie urodzi. Mówię wam, że nawóz na tę morgę możecie mieć. Skąd, zaraz wam powiem. Jest was dwie, macie kurczęta cztery razy do roku, zbierajcie odchody ludzkie i kurze, gromadźcie je w dole, ot tak ze trzy łokcie długim i szerokim, a brzeg jego otoczcie grobelką, żeby tam woda nie zaciekała. Odchody przysypujcie suchą sproszkowaną ziemią co dnia, wrzucajcie także wszelkie inne śmieci, popiół, wlewajcie pomyje a możecie jeszcze — będąc w mieście — kupić sproszkowanego wapna, i w ten sposób przysposobicie sobie nawóz, a skoro go już będzie dość, to pół morga sprawcie teraz, na drugi rok drugie pół i tak będziecie mieć ziemniaki, kapustę i zboże, resztę przyrobicie i będziecie żyć jakoś.

Posłuchała kobieta mojej rady i później mi dziękowała; miała ziemniaków, że we dwie nie mogły przejeść i zboża na jesień posiała, potem kupiła ciele, dochowała się i krowy i prosie miała na czem wychować, bo i konicz, jak mi mówiła udawał się jej dobrze.

Tak to trzeba się uczyć, trzeba, aby nasze gosposie, szczególnie na małych gruntach uczyły się nietylko szyć, prać, gotować kapustę, ziemniaki, barszcz, ale one powinny umieć i wiedzieć, jak nawóz robić, jak nawozu szanować, jakiego pokarmu i nawozu potrzebują rośliny, powinny umieć sadzić ogrodowiny, buraki, marchew, karpiele, groch, bób, cebule, pietruszkę, buraki ćwikłowe na barszcz, powinny umieć wyzyskać każdą piędź ziemi.

Powinna się każda znać na rydlowej uprawie, bo ta na małych gruntach koniecznie potrzebna. Gdyby to nasze gosposie zrozu-

miały i zajęły się ogrodowinami, toć i krówki nie byłyby skazane na wieczny post i ludzie mieliby lepsze pożywienie i niebyło by tyle narzekania na biedę.

Tak, kochane gosposie, gdy wiosna, próbójcie jedna przed drugą zająć się sadzeniem marchwi, karpieli dla krów, ogórków, pietruszki na przyprawę do kuchni, buraków na ćwikłę, na barszcz.

Pod wspomniane warzywa powinno się grunt przed zimą zryć czy z orać, sprawić dobrym nie zwietrzałym gnojem, ale jak tegoście nie zrobiły, to się teraz jeszcze zajmijcie, gnój dać dobrze przegniły zwykle ze spodu gnojnika; zryć dość głęboko, potem zrobić studnię na gnojówkę pod dachem i nakryciem i tę gnojówkę na pół rozpuścić wodą i buraki marchew, karpiele, wogóle warzywa podlewać, a będziecie mieć dla siebie i krowy.

F. Mogrys

O podlewaniu roślin.

Podlewanie roślin jest czynnością, która powinna być dokonywana umiejętnie i rozważnie, inaczej zamiast korzyści, szkodę roślinom przynieść może.

Najwłaściwszą porą podlewania jest czas przed wschodem lub po zachodzie słońca — nigdy zaś nie należy podlewać w upał, przy silnem działaniu słońca.

Woda do podlewania powinna być wygrzana na słońcu, tak żeby miała ciepłotę nie niższą niż powietrze otaczające rośliny i ziemia, na której rosną — w przeciwnym razie nagłe oziębienie wodą działa szkodliwie a nieraz zabójczo na rośliny.

Nie należy też roślin zlewać z góry jednym strumieniem, ale zawsze przez sitko — gdyż ciężki strumień wody zbija ziemię przy roślinach, a delikatniejsze nawet uszkadza. Lepiej podlewać rzadziej a obficie, żeby ziemia dobrze przesiąkła wilgocią, niż często po wierzchu zlewać, jak to najczęściej na wsi się robi. Polewając obficie a rzadko, zmuszamy rośliny do sięgania głębiej w ziemię w poszukiwaniu wilgoci i tem zabezpieczamy je, asekurujemy od szybkiego zwiędnienia, gdyż w głębszych warstwach ziemi, zawsze dłużej zachowuje się wilgoć — polewając zaś często a tylko po wierzchu, niejako uczymy je próżniactwa, gdyż im się niechce iść korzeniem w głąb — rozkładają tylko swe korzonki pod samym wierzchem — a tem samem przy mniejszym znacznie stopniu wyschnięcia ziemi narażone są na zwiędnienie — nie mówiąc już o tem, że sięgając głębiej w ziemię, wyciągają z niej obfitsze pożywienie.

Drzewa najlepiej podlewać, robiąc dziury w ziemi i nalewając w nie obficie wody, doprawionej gnojówką — dziury te powinny być nie tuż obok pnia, ale mniej więcej w tej odległości w koło drzewa, jak daleko korona sięga.

Są ogrodnicy, którzy prawie wszystkie warzywa podlewają w ten sposób, że wiercą w ziemi dziury pół metra głębokie a co pół metra w kwadrat od siebie oddalone i w te dziury nalewają wody w znacznej ilości — przy ogórkach zaś nalewają wodę w rowki, po obu stronach grzędy ogórkowej, powstałe przez okopanie ogórków. Tylko rośliny świeżo zaflancowane, lub niektóre wyjątkowe, podlewają bezpośrednio pod roślinę, a nigdy na roślinę. Zaś po nocy upalnej, kiedy rosy wcale nie było, przed wschodem słońca skrapiają rośliny tak lekko, jakby rosa na nie upadła.

Widziałam znakomite wyniki w warzywach i owocowaniu drzew przy tym systemie podlewania.

Kwiaty w doniczkach powinny być podlewane dopiero kiedy ziemia na wierzchu przynajmniej na centymetr jest wyschnięta: polewając trzeba im dać tyle wody na raz, żeby ziemia zupełnie nasiąkła, a za to polewać je rzadziej.

Tylko rośliny kwitnące i niektóre gatunki, wymagające wysokiego stopnia wilgoci, należy podlewać codziennie.

Na miseczkach pod doniczkami woda stać nie powinna, chyba dla wyjątkowych roślin. Wogóle, gdy po obfitem podlaniu nagromadzi się na podstawkach, trzeba ją po nasyceniu ziemi wodą, powylewać. Na ciepłotę wody trzeba jeszcze więcej uważać, niż przy polewaniu warzyw, gdyż kwiaty w doniczkach są bądź co bądź delikatniejsze. — To też woda do kwiatów powinna stać obok nich 12 godzin przed użyciem.

W razie jeżeli zapomnimy przygotować wodę w właściwej porze, lub brak nam miejsca do postawienia jej, trzeba wodę odrobinkę rozgrzać. — W zimie powinna woda być nieco cieplejsza, niż ciepłota pokojowa.

Jeszcze jedna rada. Znakomitym nawozem dla kwiatów doniczkowych jest woda, w której zostało umyte mięso przed gotowaniem.

K. P.

RADY DLA MATEK.

„Zbawiona będzie matka przez dziatki swoje“, mówi pismo święte i jest też tak niezawodnie, jeśli matka weźmie do serca obowiązki, jakie ma względem nowonarodzonego syna lub córki.

Pamiętajcie siostry, że dzieci nie proszą się nas o życie, że gorzko nieraz na to życie płakać im przyjdzie, że niejedno z nich czeka bieda, choroby, broń Boże kalectwo.— Kiedy więc za naszą sprawą żyć muszą, zróbmyż przynajmniej wszystko, co można, aby osłodzić im dolę tu na świecie, a ułatwić zbawienie w niebie. Gotując zaś to zbawienie dla naszych dzieci, gotujemy je i dla siebie, skoro Bóg obiecał miłosierdzie swe matkom.

Mówiłam już o tem, jak każda z nas od siebie poprawę zaczynać powinna, zanim zacznie dzieci swe do dobrego przyzwyczajać. A śpieszyć się należy z tą poprawą własną, bo ani obejrzysz się, matko, kiedy już dziecko twe na tyle podrośnie, że je będziesz musiała rozumu i cnoty uczyć. Nigdy też mówić nie należy: „ono jeszcze małe, jeszcze nie rozumie“; dziecko, nawet takie, które nie mówi, rozumie doskonale, że się coś złego dzieje, gdy słyszy przekleństwa i krzyki.

Żal powiedzieć, ale sama znałam dzieci, które wprzód umiały wymówić przekleństwo, niż imię Boże, jakże się tu matce spodziewać pociechy z takiego syna lub córki.

Wcześnie więc, jeszcze wtedy, kiedy odrobina kochana na nóżkach stawać nie może i po ziemi czołga się, trzeba już zaczynać pracę nad dobrem wychowaniem dziecka. Trzeba, żeby ono widziało dokoła siebie łagodne i miłe, a broń Boże nie gniewliwe twarze, trzeba dbać o wielką czystość jego ciałka, pościeli, ubrania. Dziecko, przyuczone do czystości, łagodności i cichości w domu będzie samo potem uciekać od krzyków przekleństwa, będzie się strzegło brudu, który człowieka podobnym czyni do zwierzęcia.

Wiem, siostry kochane, że łatwiej mnie piórem po papierze rady dla was pisać, niż wam nad czystością w mieszkaniu i około dzieci się mozolić. Praca to wielka; zwłaszcza gdy matka cały dzień przy robocie w polu lub w fabryce się trudzi, a wróciwszy do domu, nie wie, za co pierwej chwytać; za garnek, żeby kolacyę zgotować; czy za mydło, żeby dziecko umyć. Praca wielka, każdy to przyzna, ale i nagroda czeka niemała, bo wierzajcie mi, wy, młode matki, nic nie może iść w porównanie z tą pociechą, jaką daje, po Bogu, dobrze wychowane dziecko.

Polka.

Do Siόstr i Braci:

Żebyście wy Siostry, Bracia,
Wiedzieli,
Jak się moje serduszko
Weseli,
Jak się moje serduszko
Rozpływa,
Gdy się do Was wierszykami
Odzywa.
Żeby ja miał skrzydełeczki
Pieczyste,
Obleciałbym wszystkie chatki
Ojczyste,
Uczyłbym się razem z Wami
Pracować,
Jak Ojczyzną, bliźnich Boga
Miłować...
Chociaż Wy mię Siostry, Bracia,
Nie znacie,
Ja Was nie znam — kocham — wy mnie
Kochacie,
Bo się nasze dusze bratnie
Poznały,
Gdy się w naszej „Przodownicy“
Spotkały.
Choć ja wieśniak, Siostry, Bracia,
Ubogi,
Dał mi Pan Bóg w seduszeńku
Skarb drogi,
Moje piosnki dla serduszka
Każdego...
Dla chateńki i dla dworku
Białego...

Iantek z Bugaja.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przypomnienia ogrodnicze i gospodarskie na październik.

Kopanie ziemniaków i reszty warzyw.

Wycinanie kapusty.

Zostawiać odrazu najpiękniejsze okazy na wypadki nasienne i ustawiać w piwnicy lub dołować osobno.

Główki kapusty przeznaczone na wysadki, przed schowaniem trzymać przez parę dni obrócone korzeniami do góry, żeby woda z pomiędzy liści wysiąkła.

Gdy już warzywa wybrane wszystkie, zarównać każdą kwaterę w ogrodzie i zaorać lub jeśli się nie da przekopać, o ile potrzeba z nawozem. Po przekopaniu nie grabić ale w bryłach zostawić na zimę.

Siać na zimę, na lekkim gruncie: pietruszkę wczesną, szczaw, szpinak a nawet rzodkiewkę, ale dopiero po przymrozku i na ziemię przeschniętą.

Sadzić bulwy.

Przygotować ziemię na rok przyszły, na wczesne ziemniaki, wczesny groszek, szpinak, rzodkiewkę, ziemia powinna być lekka, sucha, najlepiej w miejscu osłoniętem od północy.

Łęciny od szparagów, gdy zupełnie zżółkną, pościnać, odrzucić, ziemię zrównać, najstaranniej w miejscach, gdzie były wycinane szparagi, gdy ziemia zmarznie po wierzchu, przykryć nawozem.

Truskawki i poziomki obłożyć lekko nawozem.

Kończyć zbiór zimowych owoców.

Po zebraniu owoców, usunąć podporki i schować na rok przyszły, jak również pochować wszystkie paliki, tyczki i t. p.

Gałęzie suche lub nadłamane przy zbiorze owoców poobcinać — uszkodzone zasmarowywać maścią ogrodniczą.

Pnie skrobać i dla zabezpieczenia od owadów pobielić.

Opaski założone na drzewa przeciw owadom zebrać i wraz z owadami spalić, a nowe założyć.

Kopać doły na drzewka, które będziemy sadzić na wiosnę.

Najlepsza pora do przesadzania wszelkich drzew i krzewów.

Grzędy z malinami, agrestem, porzeczkami, okopać zasilając nawozem.

Rozsadzać przyjęte odkłady agrestu i sadzonki porzeczek, wina i t. p.

Rozsadzać młode siewki w szkółce.

Szczepy do sadzenia lub na sprzedanie wykopać i zadołować.

Jeżeli ktoś ma ochotę w zimie szczepić, to także teraz dziczki wykopać i w piwnicy zadołować.

Robić regulówkę pod przyszłoroczną szkółkę.

Szkółki uporządkować na zimę, podosadzać gdzie potrzeba, na przyjętych oczkach łyko rozluźnić.

Zbierać nasiona drzew i krzewów, niektóre wysiewać odrazu w ziemię.

Rośliny zimotrwałe o ile potrzeba przesadzać.

Krzewy ozdobne, które wcześnie kwitną na wiosnę, teraz przesadzać.

Gdy mróz zwarzy georginie, pacioreczniki, mirczyki i t. p. pościnać, a gdy końce łodyg wyschną zupełnie, wyjmować kłącze z ziemi, obsuszyć i schować do suchej a nie mroźnej piwnicy.

Klombiki i rabaty uporządkować na zimę.

Trawniki ostatni raz skosić.

Liście spadające zgrabić na kupy kompostowe, lub przesuszać do przykrywania roślin.

Przerabiać komposty.

Kwiaty w doniczkach podlewać bardzo rzadko.

Len i konopie rosić i suszyć.

Przygotować wszystko do opatrzenia roślin na zimę przed mrozami.

Naciąć wikliny na koszyki i do wiązania.

Kapustę kwasić.

Krowom nie dawać za wiele liści kapuścianych i buraczanych.

Trzodę i drób tuczyć na sprzedanie.

Prosięta wyprzedać przed zimą. Obliczyć ile można przetrzymać przez zimę.

Owoce poukładać na półkach w piwnicy. Często je przebierać, usuwając starannie nadpsute. To samo robić od czasu do czasu z warzywami.

Wykończać roboty około przetworów owocowych. *K. P.*

Wykorzystajcie wszelkie źródła dochodu w gospodarstwie! Od wielu lat narzekają rolnicy na ciężkie czasy, które sprawiły, że nie jeden z nich pod nawałem wzmagających się ciężarów a niskich cen na produkta rolnicze, upadł, względnie gospodarstwo mocno obdłużył. I obecnie rolnik formalnie „ugina się“ pod ciężarami różnego rodzaju, o czem dawniej, poruszając sprawę obdłużenia gospodarstw, obszernie pisaliśmy. Teraźniejsze położenie rolnictwa jest o tyle znośniejszem, że ceny na płody rolnicze podniosły się i ustaliły.

W interesie innych klas ludności, zwłaszcza mieszczan, leży, aby ceny na produkta rolnicze nie przekroczyły pewnej granicy. Mieszczanin także żyć pragnie i nie może przepłacać artykułów spożywczych, z których najważniejszymi są chleb, mięso itd. Polityka gospodarcza rządu, mająca na oku podniesienie dobrobytu rolników na niekorzyść mieszczan, lub przeciwnie, byłaby niesprawiedliwą i na długo ostaćby się nie mogła.

Zresztą „naturalny regulator“ cen jak podaż i popyt, nie pozwoli, aby ceny na produkta rolnicze stale na wysokiej stopie się utrzymywały. Bo chociaż ludności przybywa i z tem wzmaga się zapotrzebowanie tak mąki, jak mięsa, to jednakże wydatność ziemi zwyższa się wskutek wytężonej, postępowej uprawy. A niektóre zagraniczne i zamorskie kraje, coraz to nowej ziemi rodzajnej dostarczają, tak Ameryka Południowa, jak Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, Kanada, Anatolia itd. — Ułatwiona komunikacya (rozszerzona sieć kolei żelaznych, ułatwienie żeglugi, parowce itp.), umożliwia szybki transport artykułów spożywczych do miejsc, gdzie ich brak, lub gdzie ich nie dostaje. Nie można się spodziewać, aby w bliższej przyszłości, ciężarów, jak podatki, różne ubezpieczenia, oraz trudności z robotnikiem, rolnikowi ubyło.

Pisząc powyższe uwagi, czynimy to dla tego, że nie jeden rolnik spodziewa się i żąda pomocy od rządu, względnie od czynników prawodawczych (parlamentu). Pomoc tego rodzaju tylko do pewnych granic jest możliwą, co przez powyższe krótkie wyjaśnienie staraliśmy się wykazać. Jest jeszcze więcej, mniej lub więcej skutecznych, lecz tylko „półśrodków“ (np. ułatwiony kredyt). Dla nas Polaków, to już wszelkie tego rodzaju „dobrodziejstwa“ rządowe, chyba w „aptecznej dozie“ w udziale dostaną się. O tem przekonani być możemy.

Natomiast w każdem położeniu niezawodną okazuje się samopomoc, na co nie dosyć wagi kłaść można. I nie bez słuszności powiada przysłowie: „pomóż sobie sam, a Bóg ci dopomoże“, to jest w tem znaczeniu, że ze wszystkiem na pomoc Boga i ludzi spuszczać się nie można. Pan Bóg udzielił ludziom rozumu i rąk do pracy, aby w nie zaopatrzeni i w trdnych warunkach radę sobie dawali i środki, celem ratowania zagrożonej doli lub polepszenia jej — obmyślali.

Czyż rolnicy w kierunku „samopomocy“ dużo nie czynili, aby np. z gospodarstw znaczne dochody uzyskać? Czyż nie uprawiali roli starannie i inwentarza dobrze nie żywili? Czyż nie jednoczyli się w Kółkach rolniczych i nie tworzyli Spółek pożyczkowych i gospodarczych, czyż nie kierowali się oszczędnością itp.? — Otóż biorąc ogólnie, postęp w gospodarstwach także naszych pomniejszych rolników jest wielki. Dążą oni do przyswojenia sobie nauki rolniczej, i np. w W. Ks. Poznańskiem coś 300 znakomicie zorganizowanych Kółek rolniczych posiada w liczbie 14 tysięcy członków liczny zastęp wzorowych rolników. W Prusach Zachodnich, chociaż na zewnątrz mniej to się objawia, niż w sąsiedniem Księstwie większej części rolników co do sposobu gospodarowania i dążenia do utrzymania się na ojczystym zagonie, nic zarzucić nie można. Jednem słowem, rolnicy energicznie stawiają opór różnym trudnościom i przeszkodom w dziedzinie gospodarczej.

Mimo to, wielu rolnikom zarzucićby można, że jednak pod pewnym względem są zacofani, że jakby bezwiednie sami sobie szkodzą. Zwłaszcza zarzut ten odnieśćby można do pomniejszych rolników, jeżeli ci nie wyzyskują tak zwanych pobocznych źródeł dochodu gospodarstw, które właśnie dla tych ostatnich stanowić mogą nader poważne źródła dochodu, bogacić ich, uprzyjemniać im życie i przez to — przywiązywać do rodzinnego zagonu. Mamy tutaj na myśli sadownictwo i warzywnictwo, odpowiedni chów ptactwa domowego, utrzymywanie ryb w stawach, chów królików, zajmowanie się pszczelnictwem, oraz w niektórych warunkach — uprawę wierzby koszykarskiej.

Sadownictwo znajduje się u nas jeszcze w wielkiem zaniedbaniu. Przez co nie rozumiemy tyle braku drzew owocowych, ale

i tych mogłoby przybywać, jak więcej nieodpowiednie pielęgnowanie drzew, włącznie z nawożeniem pod drzewa, które tak samo jest potrzebnem, jak zasilanie roślin uprawnych. Nie powinno się dużo gatunków hodować, lecz możliwie najmniej, na które atoli wielki jest popyt. Co do wyboru gatunków owocu — powinna się cała okolica porozumieć i wtedy nie byłoby trudno o kupca na owoc, któryby za wypróbowany, wyborowy z jednego lub kilku gatunków, z pewnością wysoką cenę zapłacił. A i przechowanie owocu pozostawia do życzenia, ponieważ w niejednym domu całą masę zepsutego owocu wyrzucać trzeba. Strat podobnych uniknąćby można, wybierając trwałe gatunki i przechowując owoc w ciemnem miejscu przy odpowiedniej temperaturze. Psujące się sztuki wcześnie trzeba usuwać, bo te zarażają drugie i gnicie w gromadzie powodują. — W Czechach, na Morawach, oraz w niektórych innych krajach dobrze zrozumiano wielką doniosłość umiejętnej hodowli i pielęgnowania drzew owocowych. I nie dawno temu w dziale „Rozmaitości“ podaliśmy wręcz olbrzymie sumy, jakie niektóre tamtejsze dobra za sprzedany owoc otrzymały. Z państw, należących do Rzeszy niemieckiej, odznacza się Wirtembergia w tej gałęzi gospodarstwa w tym stopniu, że nazwano ją „ogrodem państwa niemieckiego“.

W pobliżu miast ładny dochód mieć można z uprawy warzywa, dobrze dobranego do miejscowych potrzeb. Mamy tu na myśli ogórki, korbale, szablak, różne gatunki kapusty — a wcześnie na wiosnę dostarczanie w tej porze tak pożądanego młodego warzywa. Jeżeli uprawa warzywa na szersze rozmiary na polu nie miałaby się opłacać, to już w ogródku przy domu w tym celu każdą piędź ziemi wyzyskać trzeba.

Smutnie się u nas przedstawia chów ptactwa domowego i daleko jest jeszcze do dobrego sposobu chowu. W kraju tutejszym objawia się od kilkunastu lat ożywienie w kierunku podniesienia zaniedbanej gałęzi gospodarstwa. Zawiązują się „Towarzystwa hodowli drobiu użytkowego“, i doszło tak daleko, że mają być urządzane „konkurencye w noszeniu jaj“, o których dawniej pisaliśmy.

Jeżeli atoli się zważy, że corocznie za przeszło 120 milionów marek drobiu i produktu ptasiego zagranica dostarcza, nabrać trzeba przekonania, że pod tym względem wiele jeszcze do czynienia pozostaje. I na co to, że się tak wyrazimy, „choruje“ nasza krajowa hodowla, a raczej chów drobiu? Otóż obok utrzymywania nieodpowiedniej, mało użytecznej rasy, nie starają się gospodarze itp. o wczesny przychówek. Z późnego wylęgu prawdziwej pociechy nigdy nie będzie! Dalej, nie usuwają ze stada starszych sztuk, które trzeci rok ukończyły i w znoszeniu jaj ustają, nie dbają o skrupulatną czystość i o odpowiednio zaopatrzony kurnik. Także samo żywienie w niejednem gospodarstwie wiele do życzenia pozostawia — w zimie zaś brak ruchu również niekorzystnie na zdrowotność i niesienie (a zatem użyteczność) oddziaływa. Bo czy też każda gospodyni pamięta o dostarczaniu kurom w zimie główki kapusty lub plastrów soczystego buraka, latem zaś świeżej zielenizny? Samo ziarno doprawdy nie wystarcza, a raczej nie jest odpowiednią zdrową karmą, bo ta powinna być mieszana (ziarno i tak zw. miękka karma). Nie dosyć zachęcać można do urządzania t. zw. „kurników wędrownych“, w których podczas orki drób na pole się wywozi. — Z ras kur polecić można: „Wyandotte“, „Minorka“, „Plymouth-Rocks“ itd. — Z ras kaczek owe wytrzymałe, olbrzymie „Peking“, z białem upierzeniem, oraz kaczki „Rouen“, z upierzeniem ciemnem. Kaczki „Peking“ do wychowu nie koniecznie większej wody wymagają. — O tem wszystkiem nieraz pisaliśmy, bardzo zachęcając także do znaczenia kur różnokolorowemi obrączkami z celulozy, celem poznawania wieku. Bez tego jest poniekąd niemożliwem poznać wiek ptastwa, który znać się powinno.

Stawy w gospodarstwach powinny być wyzyskane przez utrzymywanie w nich ryb, zwłaszcza szybkorosnących karpi. Wiele razy pisaliśmy, że z małej stosunkowo wody ładny dochód osiągnąć można. Pomniejszy rolnik nie może zajmować się t. zw. „hodowlą“ ryb, bo do tego potrzeba osobnych urządzeń i wielkiej znajomości rzeczy. Niech natomiast każdy, kto posiada staw odpowiedni, sprowadzi narybek karpi (lub innych ryb, np. linów), i nim sadzawkę zarybi. Zależnie od głębokości wody, nabywa się jedno lub dwuletni narybek. Do miałkich, a zatem na przemarznięcie do gruntu narażonych stawów, wsadza się dwuletni zarybek, który ważyć powinien trzy czwarte jednego funta. Z zarybku w jesieni (tego samego roku), wyłowione karpie ważyć mogą po trzy funty. —

W głębsze, wolne od szczupaków (jako pożeraczy drobnych rybek), wsadza się jednoroczny zarybek. Uskutecznia się to zwykle wcześnie na wiosnę, w pierwszej połowie kwietnia lub w końcu marca. Bardzo dobrze, jeżeli wodę ze stawu z rybami spuszczać można, ponieważ chodzi także o uprawę gruntu (dna), zasilanie go wapnem i zwykłym nawozem, celem uzyskania średniobujnej wegetacyi wodnych roślinek. O tem wszystkiem szczegółowo pisaliśmy dawniej.

Mało zrozumienia okazuje ludność tutejsza dla tak pożytecznego zwierzątka, jakiem jest królik olbrzymi. Dostarcza on bowiem dużo dobrego mięsa, szybko się mnoży i nie jest wybrednym. To też króliki prawie wszędzie z korzyścią chować można, bo doprawdy, że umilkłyby skargi na brak tańszego mięsa, gdyby się ludność chowem tego „dostawcy taniego mięsa“ daleko więcej zajmowała. — Sprytni Anglicy, Belgijczycy i Francuzi dawno się poznali na cennych właściwościach zwierzątka z króliczego rodu. Bo w krajach tych narodów jest królik bardzo rozpowszechnionym i nikt nim nie pogardza: ani biedny, ani bogacz w pałacu. Umieją tam różne potrawy z króliczego mięsa przyrządzać, i wszystkie one są smaczne, pożywne i wcale nie drogie. — Z kożuszka króliczego, w domu, na prosty sposób wygarbowanego, wyrabiają kuśnierze futerka, a zatem i ten produkt korzystnie spieniężyć można. — Nie możemy się na tem miejscu wdawać w opis całego wychowu królików. To tylko zaznaczamy, że na polecenie zasługują króliki: „belgijskie olbrzymy“, „francuskie barany“, oraz „lotaryngskie“. Ostatnie są mniejsze, lecz za to wytrzymalsze na nasz ostrzejszy klimat i na niekorzystne zmiany powietrza. Pierwsze dwa gatunki wyrastają do wręcz olbrzymich rozmiarów, lecz cokolwiek więcej opieki i zabiegu wymagają. — „Śmiercią“ królika jest mokrość, bo tej nie znosi, także zaduch w stajence i przeciągi bardzo mu szkodzą. Tak zresztą jest czystość i zdrowe powietrze w mieszkaniu króliczem pierwszorzędnym warunkiem powodzenia chowu.

Trudno wyobrazić sobie pomniejszego rolnika, któryby się nie zajmował pszczelnictwem. A niestety nie mało jest takich, którzy albo żadnej pasieki nie posiadają lub bardzo nieumiejętnie ją prowadzą. Miód prawdziwy jest doskonałym, zdrowotnym artykułem spożywczym, w każdym domu cenionym, na który zatem jest wielki popyt. — Oprócz znacznego dochodu, jaki mieć można z dobrze prowadzonej pasieki, ma się także przyjemność patrzenia na roje skrzętnie pracujących pszczół — jako wzór do naśladowania. Nie chodzi o to, aby na razie wiele ulów posiadać, bo mniejsza ilość dobrze urządzonych i prowadzonych z pewnością daleko więcej dochodu przyniesie, pominąwszy znacznie uproszczoną pracę. Zwykły pszczelarz, mający głównie zysk na oku, nie powinien zaprowadzać kosztownego urządzenia w pasiece, tylko jak najskromniejsze, a dopiero z dochodu potrzebne ulepszenia wykonywać. Tak zresztą nie znajdzie się lepszej porady co do urządzenia i prowadzenia pasieki, jak u jakiego starszego pszczelarza w okolicy, który znanym jest ze swej umiejętności i ładnym dochodem z gospodarstwa pszczelnego wykazać się może. Że dochód z pszczół może być stosunkowo bardzo wielki, wykazywali różni wybitniejsi pszczelarze. Znamy osobiście takiego, który przy szesnastu morgach roli posiada pasiekę wzorowo prowadzoną, przynoszącą bardzo znaczny dochód, i stąd stanowiącą prawdziwą podporę małego gospodarstwa. A okoliczni gospodarze i chałupnicy, widząc taki skutek z prowadzenia pasieki, naśladują owego wybitnego pszczelarza i skrzętnie pasieki u siebie zakładają, zsukając w każdej potrzebie u niego porady.

Nieużytki doskonale zużytkować można przez uprawę wierzby koszykarskiej, pod którą najlepiej się nadają grunta o średniej wilgoci. Grunta pod wierzbę koszykarską powinny być głęboko na 50 cm. skopane, regulowane w ten sposób, aby dobra ziemia przyszła na spód, a nieurodzajna na wierzch. Sadzenie uskutecznia się na wiosnę, lub w jesieni w 50 cm. odstępach oczkami do góry i sadzonki ziemią przysypuje na 1—2 cm. Długość sadzonek wynosi 25—30 cm. Bardzo ważnym warunkiem powodzenia jest utrzymanie czystości między sadzonkami. Chwasty, podobnie jak przy uprawie buraków, pilnie niszczyć trzeba i ziemię spulchniać. – Cięcie wierzby koszykarskiej uskutecznia się w jesieni po opadnięciu liści, lub na wiosnę, najpóźniej do 15-go kwietnia, tuż przy ziemi. Cięcia nie powinno się wykonywać podczas krążenia soków, t. j. od 15-go kwietnia do 15-go października. Celem najlepszego zużytkowania wici koszykarskiej — zawiązują się Spółki,

Jesteśmy przekonani, że gdyby gospodarze szczerze się zajmowali powyżej wymienio-

nemi gałęźmi gospodarstwa, dochody z gospodarstw znacznieby się powiększyły. I sądzimy, że dla niejednego z czytelników niniejszy artykuł stanowić będzie w tym kierunku skuteczną zachętę.

Zdrowotne utrzymanie zwierząt domowych jest pierwszorzędnej wagi, ponieważ zapobiega chorobom i zwiększa użyteczność zwierząt. Bardzo ważną rolę odgrywa miejsce przebywania zwierząt. Latem jest dla zwierząt najzdrowszem przebywanie na pastwisku, a zatem na wolnem powietrzu. A już nieodzownym warunkiem wychowu młodzieży (źrebiąt, cieląt itd). jest, aby te posiadały co najmniej okolnik przy podwórzu, nawet w tym razie, jeżeli zaprowadzono pasienie inwentarza na stajni przez lato. Zwierzęta nasycają się świeżem powietrzem, przy tem mogą się dowolnie poruszać, co nader korzystnie na rozwój ciała wpływa i hartuje zwierzęta. O ile to możliwem, zaleca się założyć okolniki dla źrebiąt w pobliżu toru kolejowego, przy szosie itp., aby młode konie wcześnie do łoskotu, turkotu, wrzasku przyzwyczaić. Tak samo dobrze jest, jeżeli przy okolniku znajdują się rowy i spady. — W paśnikach dla świń pożądaną jest przepływająca woda, w której świnie dowolnie mogą się chłodzić. Znajdujące się na paśnikach (okolnikach) drzewa i krzewy, chronią zwierzęta przed skwarem słonecznym, wiatrem, oraz silnym deszczem. Drzewa itd. można zastąpić małym zwyczajnym dachem ochronnym. W upalne lata odnoszą zwierzęta, stale na pastwisku przebywające, tę korzyść, że mogą paść się w nocy. We dnie bowiem utrudniają muchy i bąki obok osłabiającego skwaru spożywanie zielonego pokarmu.

Utrzymywanie inwentarza na stajni w porze zimowej, lub gdy warunki gospodarcze i przez lato utrzymanie pod dachem zalecają, powinno się możliwie najkorzystniej urządzić. Podłoga stajni (obory) powinna być nieprzepuszczalną, co osiągamy, dając podłogę z cegieł na wysoki kant położonych i cementem wyfugowanych. Za pomocą obfitej suchej ściółki daje się zwierzętom miękkie i ciepłe legowisko. Mury budynków zaleca się tak urządzić, to jest zaprowadzić t. zw. warstwy izolacyjne, aby stajnię w zimie ciepło i sucho, latem chłodno utrzymać było można. Prócz tego zaleca się zaopatrzenie stajen w otwory do przewietrzania. Sufit wysoki i masywny lub sklepiony na cemencie dopełnia zdrowotnego i porządnego wewnętrznego urządzenia stajni.

Dobre przewietrzanie przy codziennem wyrzucaniu mierzwy — potrzebnem jest do utrzymywania dobrego powietrza w stajni. Znana „ostra woń“ w stajni pochodzi z ulatniającego się z mierzwy amoniaku, który błony ślozowe ócz, nosa i płuc drażni, a zatem pojawieniu się chorób sprzyja. (Autor niezawodnie ma racyę, jeżeli do utrzymania wielkiego porządku i najlepszego powietrza w stajni, uważa za potrzebne codzienne wyrzucanie mierzwy na gnojownię. Lecz z drugiej strony rolnik wskutek tego straty ponosi, ponieważ mierzwa pod inwentarzem najlepiej się przechowuje, bywa przydeptywaną i moczem zraszaną. Przez przesypywanie mierzwy suchem prószem torfowem lub ostatecznie suchą próchnicową ziemią, ulatnianie się amoniaku bardzo ograniczyć można. — Obszerne stajnie dozwalają bydłu itd. chociaż na nader umiarkowany ruch. Gładkie, możliwie glazurowane żłoby (z gliny lub żelaza), uniemożliwiają kwaśnienie, t. j. psucie się pozostałych resztek paszy, czego prawie nie można uniknąć w drewnianych lub cementowych żłobach.

Pielęgnowanie zwierząt polega przedewszystkiem na czyszczeniu, aby drobne otworki w skórze (pory) nie zatykały się i wskutek tego nie utrudniały oddychania przez skórę. To też porówno z końmi trzeba i bydło czyścić za pomocą zgrzebła i szczotki, lecz naturalnie odnosi się to do koni przedewszystkiem, które codziennie narażone bywają na zanieczyszczenie pyłem i pocenie się. Spocone miejsca na sierści powinno się po powrocie od roboty suchym wiechciem wytrzeć, mianowicie zwalane nogi i kopyta oczyścić. Latem zaleca się pławienie koni, a przynajmniej zmywanie za pomocą mokrych płatów. Szczególną wagę kłaść należy na pielęgnacyę kopyt u koni i bydła. (Także u źrebiąt powinno się co 4—6 tygodni kopyta obejrzeć, za nadto wyrosłe poprzycinać, a strzałkę za pomocą tępego narzędzia ostrożnie wyskrobać i w razie potrzeby wymyć. Strzyżenie koni i bydła możnaby wykonać, lecz z największą ostrożnością, aby nie zaziębić zwierząt. Przykrywanie koni derami jest czasem polecenia godnem, gdy np. zgrzane konie do chłodnej stajni się dostaną. Strzedz się tylko trzeba przed rozdelikaceniem koni, tj. nie przykrywać ich, jeżeli to jest zbytecznem. (Przedewszystkiem trzeba

konie obszernemi derami przykrywać, możliwie także piersi, gdy te w zimnej porze roku na dworzu wystawać muszą. W razie nieprzestrzegania tej ostrożności łatwo o przeziębienie się konia, który w następstwie tego choruje i pada nawet — pominąwszy to, że pozostawianie koni nieprzykrytych na mroźnem powietrzu jest dręczeniem zwierząt i barbarzyńskiem postępowaniem.

Do pielęgnacyi należy dalej możliwie akuratne uregulowanie odpasów. Żołądek zwierząt porównać bowiem można z zegarkiem; tak punktualnie zwierzęta o odpas zgłaszają się, bo stają się niespokojnemi, bydło ryczy itp. Aby uniknąć marnowania się paszy, należy paszę przy każdym odpasie po kilka razy po trochu zasypywać. Paszę, łatwo kiśnieniu podlegającą, powinno się ze żłobów, najlepiej przez spłukanie wodą, pousuwać. Pojenie najlepiej odbywa się ze „samopoideł“ ponieważ zwierzęta często lecz nie wiele na raz piją. Przy pojeniu z kubełka zaleca się, jeżeli zwierzęta mają pragnienie, przed odpasaniem cokolwiek wody podać, zaś po odpasie dobrze napoić. Przy wodociągach można się ołowianemi rurami tylko w tym razie posługiwać, jeżeli te wewnątrz są dobrze wybielone ponieważ w innym razie łatwo o zatrucie. Woda musi być czysta, chłodna, bez jakichkolwiek szkodliwych przymieszek

Zapobieganie pojawieniu się chorób trzeba mieć zawsze na oku. Przenoszeniu zaraźliwych chorób zapobiega się w ten sposób, że obcym osobom, a zwłaszcza handlarzom dostępu do stajen ostro zakazuje się. Zaleca się bardzo nowo nabyte sztuki bydła, świn itd., przez pewien czas w osobnym budynku umieszczać i tam je na zdrowotność obserwować Za pomocą szczepienia bydła „tuberkuliną“ można się przekonać o zdrowotności stada w oborze. Jeżeli po szczepieniu „tuberkuliną“ temperatura danej sztuki bydła się podniesie, niezawodnie zachorowało ono na gruźlicę. Zresztą każdy rolnik znać powinien umieszczane w kalendarzach rolniczych wady główne, za jakie sprzedający kupującemu prawnie odpowiada, aby w danym razie, mógł z nich korzystać.

Szczepienie ochronne chroni przed wielu niebezpiecznemi zarazami, jak zapalenie śledziony, czerwonka, zaraza płuc i inne. Szczepienie w ostatecznej potrzebie ratuje często zwierzęta nawet w tym razie, gdy zaraza w najbliższem sąsiedztwie lub między zwierzętami we własnem gospodarstwie się pojawiła. Przecież i u ludzi zastosowuje się z takiem powodzeniem szczepienie przeciw ospie lub dyfteryi. — Jeżeli zaraza wybuchnie w miejscowościach, które mleko do mleczarni dostarczają, łatwo o rozszerzenie zarazy przez chude mleko, z mleczarni napowrót dostarczane. To też mleko takie powinno być „sterylizowane“, tj. mocno zagrzanem z następnem ochłodzeniem, co uskutecznia mleczarnia. W razie wybuchu zarazy w okolicy lub na miejscu, trzeba koniecznie stajnie, skojce itd. „dezynfekować“, np. za pomocą bielenia rozczynem wapiennym, oraz innych środków z drogueryi. Głęboko zakopać trzeba odchody i padlinę zwierząt, które na zapalenie śledziony zachorowały, aby zapobiedz dalszemu rozszerzaniu się strasznej zarazy.

Żywienie świń. Świnia jest zwierzęciem wszystkożernem. Je ona zieleninę, korzonki roślin, warzywa, ziarno, nie pogardza też robakami, a także mięsem. Wogóle świnie odznaczają się żarłocznością, a pokarmy połykają, nie przeżuwając ich dostatecznie.

Z tego też powodu karma dla świń powinna być odpowiednio przygotowana, i tak: ziarno dla świń najlepiej dawać śrutowane.

Doświadczenia, czynione w tym kierunku wykazały, że na 100 kg. spasionego ziarna całkowitego świnie nie strawiły: żyta 50 kg., owsa 50 kg., jęczmienia 55 kg. A więc z wymienionych gatunków zboża, zadawanego świniom w ziarnie całkowitem, trawiły one zaledwie połowę, albo mało co więcej, a reszta odchodziła niestrawiona. Wyjątek pod tym względem stanowią groch i bób, które świnie dobre trawią, i tych ziarn śrutować nie potrzeba.

Jeżeli już tak wypadnie, że świnie musi się karmić ziarnem całem, nieśrutowanem, to najlepiej dawać je samo, bez żadnej mieszaniny, gdyż wtenczas świnie przynajmniej je żują, a zmieszanego z inną karmą nie żują wcale, lecz połykają.

Groch, bób i jęczmień najlepiej dawać gotowane, ale mogą być także podane moczone.

Plewy tatarczane i ości jęczmienne muszą być zawsze parzone i daje się je jako dodatek do warzyw.

Warzywa, jak kartofle, marchew, bulwy, buraki, przeznaczone na karmę dla świń,

muszą być gotowane, gdyż surowych świnie nie trawią.

Zadając karmę gotowaną, należy ją pierwej ochłodzić. Karma powinna być tylko letnia, gdyż gorąca karma jest dla świń bardzo szkodliwa.

Zieleniny daje się surowe. Gdyby nie były czyste, trzeba je w wodzie opłukać, a następnie posiekać albo porznąć na sieczkę.

Zielenin a również warzyw i także plew nie zalicza się do zbyt pożywnej karmy, bardzo więc będzie korzystne do takiej karmy dodawać po trochu osypki z jęczmienia, grochu, lub innego ziarna. Można też zamiast osypki dodawać makuchów potłuczonych.

Karmienie świń 3 razy dziennie, t. j. rano, w południe i wieczór, jest najodpowiedniejsze.

Jeżeli świnie wypędza się na pastwisko, to pomimo tego należy im w domu, choćby raz dziennie, dodać zieleniny lub warzyw, gdyż żywienie tylko na pastwisku nie jest wystarczające, jeżeli świnie nie mają schudnąć, i jeżeli nie chcemy, ażeby rozwój ich został wstrzymany. Wprawdzie na pastwisku świnie znajdują nieco pokarmu, jak robaki, pędraki i korzonki, ale nie jest to dostateczne pożywienie do utrzymania świń choćby w średnim stanie odżywienia. Wogóle pastwiska u nas są dość liche, a świnia nie wiele się tam pożywi.

Najodpowiedniejszym pastwiskiem dla świń są ugory i ścierniska.

Jeszcze lepsze są lasy bukowe i dębowe, zwłaszcza jeżeli żołądź i bukwa obrodzi. Na takich pastwiskach świnie nie tylko dobrze dadzą się utrzymać, ale nawet łatwo się tuczą.

W każdym razie tylko blisko położone pastwiska przydatne są dla świń. Podczas upałów nie można trzymać świń cały dzień na pastwisku, ale wypędzać je rano i przed wieczorem, a w godzinach południowych chronić je od upału, gdyż jest on dla nich bardzo szkodliwy. Nie należy też zapominać o czystej wodzie, którą świnie mieć muszą jako napój, a w porze letniej kąpiele w rzece lub stawie bardzo są dla nich pożyteczne.

Do tuczenia najodpowiedniejsze są wieprze t. j. zwierzęta kastrowane, a przyczyną tego jest to, ze pociąg płciowy jest u nich zniszczony.

Kiernozy, niezdatne już do rozpłodu, należy przed tuczeniem wykastrować, gdyż wtenczas łatwiej się tuczą.

Zwierzęta, przeznaczone do tuczenia, powinny być umieszczone w chlewach nieco przyćmionych (jednak nie zupełnie ciemnych) a to dlatego, żeby ich światło nie drażniło, i wogóle spokój jest dla nich bardzo potrzebny, a wszystko to, co może je drażnić, należy usuwać.

A więc krzyki, bicie, gonienie działają niekorzystnie na tuczenie zwierząt. Czystość w chlewach, w których umieszczone są tuczniki, jest niezbędną i z tego powodu podściółka musi być codziennie zmieniana, a gnój i mocz z chlewa starannie uprzątnięte.

Przekonano się, że i utrzymanie skóry w czystości, bardzo pomyślnie oddziałuje na tuczenie się wieprzów. W tym kierunku robiono doświadczenia z 6-ma wieprzami i tak: Trzy z nich nie czyszczono wcale, zaś drugie trzy czyszczono codziennie zgrzebłem i szczotką. Po 7-miu tygodniach okazało się, że chociaż wszystkie 6 świń otrzymywało taką samą karmę i w tej samej ilości, to jednak każda sztuka z 3-ech świń czyszczonych ważyła o 15 kg. więcej od nieczyszczonych.

Jest to dowód niezbity, jak ważną rolę odgrywa podczas tuczenia świń utrzymanie czystości ich skóry.

Koryta, w których daje się świniom karmę, muszą być codzień z resztek niezjedzonej karmy należycie wymiecione, a co parę dni wymyte, ażeby się nie zakwasiły. Potrzebne też jest w przegrodzie osobne koryto na wodę do picia, którą codziennie zmieniać potrzeba.

Karmę najlepiej zadawać tucznikom po trochu a częściej, a więc 4 razy dziennie. Wspomnieliśmy już wyżej, że gorąca karma dla świń jest bardzo szkodliwa, a więc i do tuczników tę regułę zastosować należy.

Młode świnie 6 do 9-cio miesięczne przydatniejsze są do tuczenia na mięso. Jeżeli zaś idzie o tuczenie świń dla tłuszczu, to odpowiedniejsze są starsze, od jednego do $1\frac{1}{2}$ roku mające.

W obecnym czasie największy popyt na targu mają młode sztuki podtuczone dla mięsa. Takie sztuki przynoszą też największą korzyść z hodowli w gospodarstwie. Wypasanie dla tłuszczu, przynosi już mniejsze korzyści.

Tuczenie świń nie powinno dłużej trwać jak około 100 dni czyli 10 do 14 tygodni. Zupełne utuczenie na słoninę wymaga 16 do 20 tygodni, i ma ono zwykle zastosowanie wtenczas, jeżeli idzie o utuczenie świń na słoninę dla własnej potrzeby.

Rozumie się. że czas tuczenia zależny jest od tego, czy świnie są rasy poprawnej czy nie. Dawniejsze świnie rasy krajowej potrzebowały do zupełnego utuczenia całego roku.

Zdarza się podczas tuczenia, że świnia traci apetyt i nie chce żreć. Radzę wtenczas dodawać do karmy proszku z węgla drzewnego, miału węgla kamiennego, torfu, mąki z kości, w wodzie rozpuszczonej i t. p. Najlepszym jednak środkiem dla poprawienia chęci jadła u świń jest owies moczony w ropie czyli słonej wodzie. Takiego owsa daje się świniom po parę garści z dodatkiem szczypty antymonu (którego dostanie w aptece) przez dni kilka, a apetyt się poprawi.

O korzyściach z uprawy lnu. Len należy do roślin uprawnych, z których gospodarze u nas nie otrzymują odpowiednich dochodów a to dlatego, że trzymają się zbyt dawnego a uciążliwego sposobu obrabiania tej rośliny.

Za granicą przeciwnie, len daje znaczny dochód. Tam uprawa lnu od połowy przeszłego wieku podniosła się tak dalece, że płótna, które dawniej były bardzo drogie i poszukiwane dla swej dobroci, jak: holenderskie, saskie, belgijskie, kolońskie, przestały być teraz osobliwością. Szczególniej w Niemczech i hodowla lnu, i wyrób płótna bardzo się podniosły. U nas, w Polsce, nikt nie bierze się jeszcze do uprawy lnu na większy rozmiar; zwykle uprawiają go tylko na własną potrzebę. Dawniej nie mogło być inaczej: nie mieliśmy fabryk płótna, nie było dobrych dróg, a co najważniejsza, ludzie za mało wiedzieli o tem, jak wielkie korzyści uprawa lnu może dawać. Obecnie mamy już w kraju fabryki płótna, mamy koleje żelazne w różnych kierunkach; pozostaje tylko zapoznać się z tańszemi i udoskonalonemi sposobami obrabiania lnu, rozpowszechnionemi za granicą. W połowie XIX. w. powstała w Królestwie polskie fabryka wyrobów lnianych w Żyrardowie w gubernii warszawskiej, a niedawnemi już czasy otworzono takąż fabrykę w Częstochowie. Fabryki te potrzebują dużo lnianego włókna. Do fabryki w Żyrardowie od kilkunastu lat dostarczają je w znacznej ilości z południowej Rosyi, z gubernii ekaterynosławskiej (nad morzem Czarnem). Włókno stamtąd jest znane z dobroci, — białe jak mleko, blizko półtrzecia łokcia długie, mocne i delikatne. Dużo też włókna lnianego sprowadzają obie te fabryki z zagranicy. Dopiero od niedawna zaczęli siewać len drobni właściciele rolni w blizkości Żyrardowa i Częstochowy. Dwory nie zajmują się wcale uprawą lnu, bo uważa ją, że daje za mały dochód, a głównie może staje tu na przeszkodzie brak robotnika.

Przez długie czasy wyrobów czysto lnianych używali tylko ludzie zamożni, daleko więcej poszukiwano płócien mieszanych z bawełną, jako znacznie tańszych; dopiero w drugiej połowie zeszłego wieku, kiedy powstało więcej fabryk z wyrobami czysto lnianemi i cena tych wyrobów spadła, płótno z bawełną mniej jest kupowane. Przed kilku laty przedsiębiorcy Francuzi założyli na Litwie fabrykę wyrobów płóciennych i znacznie rozszerzyli uprawę lnu. Lecz najbardziej wyborowy wysyłają do Francyi na wyroby najdelikatniejsze, jak koronki itp., a resztę włókna przerabiają w swojej fabryce.

U nas obecnie uprawa gruntu pod len odbywa się bardzo niedbale; len bywa zachwaszczony, wadliwie opielany, bo go podczas pielenia gniotą, siedząc na nim, a przy tem potrzeba do tej roboty dużo ludzi: moczenie lnu według odwiecznego zwyczaju jest szkodliwe, wreszcie samo obrabianie zbyt długie, żmudne, a przez to kosztowne. Za granicą ręczne obrabianie lnu zastąpiono od lat 30 maszynami, które wykonywują to prędzej i taniej. Od zachwaszczenia uchronić może dokładna uprawa roli. Moczenie zastąpiono roszeniem.

Te ulepszone sposoby dają ze lnu dobre włókno za które każda fabryka zapłaci wyższą cenę. To powinno zachęcić u nas większych i drobnych właścicieli rolnych do uprawy lnu na większy rozmiar, tem bardziej, że od lat 30, odkąd nasze zboże zostało oclone przy wywożeniu do Prus, cena jego spadła tak, że rolnicy mają duże straty. Powinniśmy więc wynagradzać to sobie w gospodarstwach rolnych dochodami z jakiegokolwiek przemysłu rolnego, a do takich należy uprawa lnu. Za tym przemysłem przemawia i to, że nie potrzebujemy szukać kupca na włókno bo fabryki krajowe chętnie włókno wykupią. Cały ten dozór nad lnem mają zwykle u nas kobiety; ale obecnie, kiedy roszenie lnu odbywać się ma na polu, kiedy maszyny mają dokonywać obrabiania lnu i wreszcie kiedy len wynagradzać ma nizkie ceny zboża — to gospodarze rolni powinni sami zajmować się tym przemysłem i uprawiać len w znacznie większej ilości, niż dotąd.

W guberniach piotrkowskiej i kaliskiej właściciele majątków na pograniczu Śląska pruskiego zaczęli już od lat 20-tu siać len w większej ilości, ale nie obrabiają na włókno, jeno po omłóceniu siemienia sprzedają kupcom w stanie surowym. Kupcy ten len roszą u siebie, a wydobywszy czyste włókno sprzedają do fabryk w Saksonii, zarabiając na tem znaczne pieniądze.

Len bywa siany w trojakim celu: 1) na sprzęt samego wyłącznie siemienia, które przerabiają na olej i na makuchy: – na ten cel zasiew powinien być gęsty; 2) na sprzęt wyłącznie samego włókna, a wtenczas taki len sprząta się wcześnie i jest delikatny oraz cienki; – zasiew wtedy musi być rzadki; 3) dla otrzymania i włókna i siemienia; – wtedy siew powinien być niezbyt gęsty, aby roślina nie wyległa.

Z wielu, bo prawie 30 gatunków lnu, należy tu wymienić, choć pobieżnie, najważniejsze. Najwięcej nas obchodzi gatunek tak zwanego lnu pospolitego (letniego, czyli jednorocznego) i z dwu jego poddziałów tak zwany „samosiej“ albo „skoczeń, zmłóceń, pryszczek“, odznaczający się krótszemi włóknami i kwiatem ciemno-błękitnym. Jest to odmiana gorsza, mająca skłonność do otwierania torebek nasiennych.

Głównie uprawiane są podziały samosieja „słowien“ lub „wielkolen“. Ma on włókno szarawe z połyskiem srebrzystym, torebki nasienne szczelnie zamknięte, łodygę mało rozgałęzioną, kwiat jasno-błękitny. Z odmian jego bardziej znane są: a) „len ryski“, rozpowszechniony na Litwie, na Żmudzi, w Kurlandyi i Inflantach; daje włókno bardzo duże i nasienia dużo. Jest bardzo poszukiwany za granicą, szczególniej w Belgii; b) „len pskowski“, podobny do poprzedniego, mający te same zalety, ale jeszcze w wyższym stopniu, uważany jest jako najlepsza odmiana rosyjska. Jest najwięcej zalecenia godny w naszym kraju; c) „królewski“, sprowadzony z Belgii do Niemiec. Włókno długie, barwy zielonej, na słońcu daje się wybielić; d) „Werderski“, dochodzący do 5 stóp. Włókno bardzo delikatne; e) „Tatarski“, ma łodygę bardzo rozgałęzioną, na włókno niezdatny, tylko na olej; f) „Holenderski“, odznacza się bardzo szybkim wzrostem, opanowującym chwasty. Udaje się na każdym gruncie, nawet na polach wyżej położonych.

Z innych odmian znane są biało kwitnące jak: g) „Amerykański“, o kwiecie pięknym białym. Wymaga ziemi cięższej. Włókno daje bardzo miękkie, jedwabiste, ziarno brunatne. Jest jego odmiana o ziarnie żółtem, wyłącznie na olej, który się otrzymuje ładny, jasny; h) „Azyatycki“, u nas już rozpowszechniony, o kwiecie dawniej białym, obecnie blado-niebieskim.

Gatunki tak zwane trwałe mniej nas obchodzą, jako nie dające się zastosować w płodozmianach i prawidłowych gospodarstwach, a tylko w miejscach wyjątkowych.

Do nich należą: i) „len trwały“, puszczający po ucięciu źdźbła nowe łodygi. Z jednego krzaka wyrasta ich 10 do 13-tu. Siać trzeba go bardzo rzadko; włókno daje obfite i długie. Na zimno wytrwały, tak, że po ucięciu łodyg w jesieni młode pędy zachowują zieloność nawet pod śniegiem; dlatego też nazywa się inaczej Syberyjskim; k) „Wielkokwiatowy“, więcej używany na nasienie, jest odmianą poprzedniego. Łodyg jego nie wyrywają, lecz wycinają przed zimą; do wyrobu włókna używany dopiero po paru latach w których rozwija się pewna liczba prostych długich i cienkich pędów, a do tego czasu daje dużo nasienia.

W dawnych czasach uprawa lnu była u nas bardzo rozpowszechniona, szczególniej na Litwie. Litwini, gdy byli jeszcze poganami, czcili boginię Alabatis jako opiekunkę, a bożka Wojżgartosa jako opiekuna lnu. Najpiękniejsze kapłanki pogańskie modliły się do bożka tego słowami: „Bożku Wojżgartosie, rozmnóż nasz len! Niech będzie wysoki jak ja. Nie dopuszczaj, żebyśmy chodziły nago“.



ROZMAITOŚCI.

Ruch wychodźczy z Galicyi do Prus za pracą przybrał obecnie wielkie rozmiary. Gromady robotników rolnych i kobiet, szczególnie ze wschodnich powiatów Galicyi, obałamuconych złudnemi obietnicami agentów, zdają się na ich łaskę i dążą z ślepą ufnością do wrogiego im kraju. Tam po przybyciu pozostawieni losowi, oddani są na łup spekulantów, którzy nie wahają się przy sprzyjających okolicznościach do ostatecznych granic wyzyskiwać ich pracę. U nas w kraju wychodźtwo za pracą stworzyło intratny rodzaj przemysłu, polegającego na dostarczaniu Prusom taniego robotnika. Wiele indywiduów bez wszelkiego uprawnienia rzuciło się na te spekulacye, bałamucąc lud i odciągając go od pracy w kraju, a lud, mimo ostrzeżeń władz spieszy za nimi, pokładając ufność w zwodnicze obietnice, gotujące częstokroć naiwnym gorzkie rozczarowanie i niedolę.

Niedawno znowu na stacyi w Płaszowie aresztowano kilku nieuprawnionych agentów, którzy wiedli kilkuset chłopów ze wschodniej Galicyi do północnych Prus.

Wyrok w sprawie niemieckiej nauki religii w zaborze pruskim. Gwałty władz pruskich względem strejkujących polskich dzieci szkolnych, otrzymały obecnie sankcyę najwyższej pruskiej instancyi sądowej. Jak donosi „Dziennik Poznański", senat najwyższego sądu administracyjnego takie wygłosił zasady, odnoszące się do nauki religii w szkołach elementarnych Księstwa Poznańskiego:

„Jest obowiązkiem władzy szkolnej, przeciwdziałać odpowiedniemi środkami upornemu nieposłuszeństwu dzieci szkolnych, które się opierają przepisanej planem szkolnym nauce religii. Niesłusznem jest twierdzenie, iżby używanie języka niemieckiego w nauce religii w Księstwie Poznańskiem sprzeciwiało się zasadom katolickiego prawa kościelnego. Kwestya, jaki język wykładowy ma być zastosowany w nauce religii w publicznych szkołach elementarnych, nie należy do dziedziny czysto religijnej, lecz podlega państwowemu porządkowi szkolnemu. Ani przepisy konstytucyi z dnia 31 stycznia 1850 roku, dotyczące swobody wyznania, ani przepisy powszechnego prawa krajowego nie są dotknięte tą kwestyą. Zarządzenie biskupa, aby nauki religii udzielano w języku polskim, nie ma dla władzy szkolnej żadnego znaczenia".

O ospie i szczepieniu. Czem była ospa w starożytności i wiekach średnich, o tem dzisiaj pojęcia sobie nikt wyrobić nie zdoła, dość przytoczyć, że srogość epidemii ospy można jedynie porównać ze srogością dżumy, która nawet w ostatnich latach w Indyach wschodnich setki tysięcy ofiar porywa. Wojska rzymskie przywiozły ospę do Włoch po długotrwałem oblężeniu miasta Seleucyi nad Eufratem, a epidemia tej choroby zniszczyła w krótkim czasie potężną armię rzymską, tak, że kraj pozbawiony wszelkiej obrony, nie był w stanie stawić oporu nadciągającym z północy hordom Germanów. Kwitnący kraj zdziczał zupełnie pod wpływem epidemii ospy, która nie oszczędziła cesarza rzymskiego Marka Aureliusza w roku 180 naszej ery. Niemniej groźne epidemie ospy nawiedzały ludy Europy w wiekach średnich; kto ocalał od śmierci, odnosił kalectwa, a co najmniej na twarzy potworne nieraz ślady strasznej choroby; powstało też mniemanie, że ludzie, którzy ospę szczęśliwie przebyli, odznaczają się wielkim zasobem zdrowia na całe dalsze życie.

Jak groźnemi bywały epidemie ospy jeszcze w 18 stuleciu, przekonywa fakt, że w roku 1723 w przeciągu czasu od czerwca do listopada zmarło w Paryżu na ospę 13.350 osób.

Epidemia ospy sroży się w najstraszniejszej postaci, gdy po raz pierwszy w pewnym kraju się pojawia, przywleczona np. po raz pierwszy do Islandyi w r. 1707 zabrała w przeciągu kilku miesięcy około 2000 osób z pośród mieszkańców tej wyspy. Że i na obszarach ziem polskich epidemie ospy straszne czyniły spustoszenia i wyludniały całe okolice, o tem świadczą liczne zapiski w kronikach.

Jest jasnem, że wśród takich okoliczności spostrzeżenie angielskiego lekarza Edwarda Jennera, iż przebycie ospy krowiej chroni ludzi od zapadnięcia na groźną ospę ludzką było odkryciem epokowem, którego skutki obecnie w całej pełni uznają i oceniają te społeczeństwa, w których bezwzględny przymus szczepienin w drodze ustaw wprowadzono. Jak powszechnie wiadomo, jest ospa krowia łagodną chorobą i powstaje w miejscu, gdzie pod przyskórek wprowa-

dzono jak właściwy, zebrany z cieląt, umyślnie w osobnych zakładach w tym celu szczepionych. W różnych częściach kraju naszego istniały zakłady, które produkowały krowiankę do szczepień publicznych. Od lat kilku ze względu na doniosłość przedmiotu ujął rząd we własny zarząd sprawę wytwarzania krowianki do szczepień i w ten sposób powstał w Wiedniu c. k. zakład wytwarzania krowianki, skąd odbywa się rozsyłka cennego i wybornego materyału do szczepień po całem państwie.

Za pomocą prostego doświadczenia, dokonanego na chłopcu 8-letnim, któremu najprzód zaszczepił ospę krowią, a następnie ospę ludzką, jednak bez skutku, wykazał Jenner w r. 1796 skuteczność szczepienia krowianki, a gdy i dalsze próby stwierdziły słuszność zapatrywania, napisał dzieło o swem spostrzeżeniu i wydał je własnym nakładem, a w przeciągu kilku lat doczekał się tak wielkiego uznania ze strony swoich i obcych, jakie jedynie wyjątkowo staje się udziałem ludzi za życia. Obecnie nazwisko Jennera, mieści się na wieki w szeregu nazwisk ludzi dla społeczeństwa najwięcej zasłużonych.

Sprawą szczepienia rychło zajęły się rządy państw Europy, a w ich gronie i rząd austryacki. W Austryi istnieje dotąd jedynie pośredni przymus szczepienia, lecz bezpośrednio zmusić do zaszczepienia się nikogo nie można. To stanowisko ustawodawstwa naszego uznaje się powszechnie za złe, które doprowadza do takich następstw, z jakiemi obecnie stolica państwa Wiedeń ma do czynienia, t. j. do powstania epidemii choroby, którą gdzieindziej od lat kilkunastu wykreślono z szeregu wrogów społeczeństwa. Każdy świadom stanu rzeczy powinien domagać się, aby w Austryi wprowadzono ustawowo bezwzględny przymus szczepienia, tak, jak istnieje przymus szkolny i powszechny obowiązek służby wojskowej. A w pierwszym rzędzie w naszym kraju o wprowadzeniu takiego przymusu myślećby należało dlatego, że cała jego północna i wschodnia granica dotyka na rozległej przestrzeni obszarów państwa rosyjskiego, skąd wszelkie zarazy zawsze się rozchodzą.

Wszystko, co się dotąd czyni w zakresie szczepienia, nazwać trzeba tylko środkami połowicznemi. Główną przeszkodą w uogólnieniu się szczepienia, stanowi niski stopień oświaty, szczególna obojętność dla przedmiotu i brak troski o własne zdrowie.

Potęga ciemnoty w walce z cholerą. Włościanie wsi Wielka Czernikowla (samarskiej gub.) w celu zapobieżeniu szerzeniu się cholery, oborali całą wieś, zaprzęgłszy do pługów zamiast koni kobiety.

Jak należy zachować się wobec chorych? Wielce nieprzyzwoitą, a jednak praktykowaną rzeczą jest to, iż ludzie, odwiedzając chorych, niepokoją ich przez głośne objawianie swych myśli, np. co do ich złego wyglądu. Są nawet i tacy ludzie, którzy przy odwiedzinach straszą chorych opowiadaniami o złych wynikach tej lub owej choroby. Często wskutek takiego niestosownego i nietaktownego postępowania, sprowadza się wprost pogorszenie choroby. Dlatego należy zawsze przy odwiedzinach chorych unikać tego, coby ich mogło drażnić.

Pomoc w nagłych wypadkach. Nieraz zdarza się, że kogoś wóz przejedzie, człowiek albo na miejscu ducha wyzionie, albo też koła tak mu kości połamią, że wśród strasznych boleści na drugi dzień lub za kilka dni umiera. Często jednak bywa, że na ciele przejechanego człowieka nie widać najmniejszej rany, ani nawet znaku kół. Kiedyż się to zdarza? Oto wtedy, gdy koła przejdą przez brzuch, gdzie kości nie ma. Po takiem przejechaniu człowiek nie zawsze jest zdrów, bo chociaż skóra na brzuchu się ugnie, ale czasem pęka wewnątrz kiszka. Rozumie się, że poznać to może tylko lekarz, boć kiszek nie widać. Człowiek jednak, którego to nieszczęście spotkało, czuje wielkie boleści w sobie, nie można go pozostawić bez ratunku, czekając dopiero na doktora, bo tym czasem biedak mógłby dostać gorączki i krew zalałaby go wewnątrz. Ratować więc go należy przykładaniem na brzuch lodu, albo chustki zmaczanej w zimnej wodzie.

Spytacie może, dlaczego to przykładanie pomaga? Oto dlatego, że zimna chustka albo lód oziębia wnętrzności człowieka, nie dopuszcza więc gorączki i wylewania się krwi z żył w pękniętej kiszce.

Gdyby jednak chory czuł wielki ból wewnątrz, trzeba koniecznie sprowadzić lekarza, nim zaś ten przyjdzie, robić ciągle zimne okłady. Dodam tu na pociechę, iż zdarzają się wypadki, że po zrobieniu opatruuku człowiek żyje dwadzieścia i trzydzieści lat, chociaż ma kiszkę przerwaną.

Nawet i topielca można uratować, choć go nie zaraz wyciągną z wody. Zdarza się nieraz, że taki, co był nawet pięć i dziesięć minut

pod wodą, jeszcze życie może odzyskać, jeżeli tylko ci, co go ratują, wiedzą, jak brać się do tego.

Przez co jednak człowiek się topi na śmierć w wodzie? Oto przez to, że tam niema czem oddychać, więc się dusi. Inni znów umierają w wodzie z samego strachu; jeszcze inni dlatego, że byli zanadto zgrzani, a w wodzie nagle się oziębili, więc tknął ich paraliż. Tacy więc, co umarli w wodzie ze strachu, albo zostali tknięci paraliżem, zginęli właściwie nie z powodu utonięcia, bo zanim się mogli udusić, już żyć przestali.

A jak wogóle ratować topielca? Oto, wydobywszy z wody, trzeba go położyć na ziemi, oczyścić nos i usta z błota, jeżeli się w niem zawalał, zdjąć z niego ubranie i pomódz mu do oddychania jego piersiom. Aby zaś to uczynić, potrzeba przyłożyć ręce z obu stron do żeber topielca i zlekka je ciągle ściskać trzeba tak długo, aż on sam zacznie oddychać. Jeżeli choćby raz odetchnie, to już wyratowany; jeżeli zaś ściskanie to nic nie pomoże, wówczas niema żadnej rady i trzeba tylko pomodlić się za jego duszę.

Pamiętajcie jednak o tem, że chociaż topielec odżyje, nie trzeba zaraz go opuszczać, ale zawołać doktora, aby mu zupełnie zdrowie przywrócił.

Na zimę trzeba stajnię oczyścić wewnątrz, a zewnątrz opatrzyć. Poobmiataj tedy pajęczyny i robacze gniazda. pooskrobój drabiny i żłoby, z za żłobów i z pod nich powyrzucaj wszystkie resztki i śmiecia, wyskrob podłogi, czy też tok z resztek przyschniętego gnoju i wszystko to starannie usuń na dwór na osobną kupę. Okna trzeba zaszklić, obmyć i koniecznie urządzić do otwierania, aby w zimie można stajenkę przewietrzyć. Po oczyszczeniu takiem zobaczysz, co potrzeba; tam jama w glinie się wybiła, przekop ją, dowieź iłu i wilgotno a twardo ubij. Tam podłoga wygniła, trzeba z pod niej gnój i nacieki gnojowe wybrać dobrze iłem podbić i podłogę dać nową. Ówdzie ścieki się zatkały, co gnojówkę odprowadzają, czas i to odczyścić, bo takie odcieki zwykle są pod ziemią, z trudem przeto, gdy ziemia zamarznie, dostać się do nich.

Po wykonaniu tego, naprawieniu drabin i żłobów, wybiel stajnię, nie żałując wapna; biel więc ścielę czy powałę, ściany, żłoby i drabiny. I ładniej i pożyteczniej to! Biała ściana i powała światła wiele dają, a tego zwykle brak we włościańskich stajniach, prócz tego lepiej się widzi brud i pajęczyny, które w ciągu zimy osiadają, i łatwiej je można usunąć. Wybielenie zaś żłobów i drabin po poprzedniem oczyszczeniu i obmyciu odkwasza je, a to szczególniej jest wskazane ze względów zdrowotnych po zielonej, łatwo kwaśniejącej i gnijącej paszy. Wszystko razem ma za cel uzyskanie możliwie czystego powietrza w ciasnej i zamkniętej stajni w ciągu długiej zimy.

Czysta ściółka dla prosiąt. Przy wyborze podściółki do przegród, w których się znajdują karmiące maciory, powinno się być szczególnie ostrożnym.. Starsze zwierzęta nie są wprawdzie tak wrażliwe jak młodzież, ale mimo to zła ściółka może i tutaj spowodować straty. Jeżeli się widzi, że do przegród, w których się znajdują prosięta, dają spleśniałą, mokrą, lub nagniłą słomę, to nie można się dziwić, jeżeli prosięta zaczynają okazywać stan chorobliwy. Mocno spleśniała słoma, pochodząca ze źle zebranego zboża lub z przemoczonej sterty, nie nadaje się wogóle jako ściółka dla żadnego z użytkowych zwierząt gospodarczych. W przedziale dla prosiąt może się ściółka taka stać wprost niebezpieczną. Twierdzeniu temu nie można zaprzeczć uwagą, że prosięta przecież słomy nie jedzą. Kto obserwował życie tych zwierzątek w ich przedziale, ten się przekonał, że prosięta na długi czas przed odłączeniem, wszystko, co tylko znajdą, dla zabawy w pyszczki biorą i oblizują. Jeżeli więc używa się na podściółkę słomy spleśniałej lub zgniłej, to prosięta, bawiąc się nią i oblizując ją, wchłaniają w siebie niejedną szkodliwą bakteryę, znajdującą się na takiej słomie. Żołądek młodego prosiaka jest jednak bardzo wrażliwy, następuje biegunka, której najczęściej żadnymi środkami zapobiedz nie można. Także i kaszel u prosiąt powoduje najczęściej ściółka spleśniała lub prochem zanieczyszczona. Z tego też powodu powinno się używać na ściółkę dla prosiąt tylko czystej słomy, przez co przy wychowie prosiąt uniknie się niejednej straty.

O kwaszeuiu kapusty. Jak się kwasi kapustę na zimę, wie każda gospodyni na wsi, bo i cóżby to była za gospodyni, coby tego nie wiedziała.

Nie wszędzie jednak wiedzą o ułatwieniu, jakie można sobie zrobić przy tej robocie. Wiadomo, że kapustę trzeba przy układaniu do beczki bardzo mocno ubijać, robi to zwykle silny mężczyzna — a tu czasami kobieta

jest w takiem położeniu, że niema pomocy męskiej i dobrze się biedaczka napoci nim ubije kapustę, a i to mimo najlepszych chęci, z braku siły dokładnie tego nie zrobi.

Otóż można sobie ulżyć, a robotę dokładnie wykonać, parząc kapustę — zmiękczoną zaś, każda kobieta łatwo sama ubije bardzo lekką pałką, a nawet po prostu upcha rękami.

Robi się to w ten sposób, że mając przygotowaną kapustę: poszatkowaną, skrajaną czy zesiekaną — nasypuje się do beczki jak zwykle i za każdą warstwą parzy się gotującą wodą soląc jak zwykle (1 funt na kopę średnich główek kapusty). Woda powinna być czysta źródlana i przez cały czas układania kapusty do beczki stać na kuchni i gotować się, żeby ciągle zalewać kipiącym warem a nie przestudzoną, odstawioną na bok wodą.

Dalej postępuje się, jak z każdą kapustą.

Szara kapusta. Przy obieraniu kapusty i kwaszeniu jej na zimę marnuje się zwykle bardzo dużo liści — zaś w dobrem gospodarstwie nic zmarnować się nie powinno. Daje się te liście krowom, daje się i świniom, ile chcą zjeść, ale że jednocześnie mamy i liście buraczane i nać z marchwi, więc dużo liści się marnuje, nie licząc już tego, że zadawane zbyt w wielkiej ilości przyprawiają krowy o chorobę, a i mleko po samych liściach mniej smaczne. Niektórzy gospodarze urządzają z liści kiszonkę dla inwentarza — dobra to rzecz i ogromnie w zimie użyteczna — ale można część tych liści i dla ludzi smacznie z użytkować.

W Królestwie, gdzie kapusty sadzą i jadają więcej niż w Galicyi — szczególniej nad granicą pruską, z liści kapuścianych urządzają tak zwaną szarą kapustę, gdyż po ugotowaniu jest ona ciemnawa. W tym celu już przy obieraniu główek do szatkowania liście odkłada się osobno na czystą płachtę, odrzucając tylko pierwsze z wierzchu lub te, które są mocno pojedzone przez gąsienice,

Czyste liście sieka się drobno w małej beczce lub cebrze specyalnem siekaczem, osadzonym na rączce grubej jak do wideł. Następnie układa się do beczki (która powinna być poprzedniego dnia wyszorowana, wyparzona i wysuszona) w ten sposób, że na dno sypie się trochę soli, potem warstwę głąbów czystych, pozostałych od kapusty szatkowanej, na to warstwę tej usiekanej kapusty, ubija się mocniej niż szatkowana, lub parzy, i znów warstwa głąbów i warstwa kapusty aż do wierzchu beczki. Niektórzy, prócz głąbów, które są konieczne dla nadania smaku, przekładają obranemi i pokrajanemi burakami, dzikiemi jabłkami lub gruszkami, a nawet całemi główkami kapusty, jeżeli się od szatkowania pozostały. Po wierzchu soli się znów trochę, soli nie używając, i postępuje się potem jak z każdą kapustą, częściej tylko przetykając dla wypuszczenia goryczy i cięższym kamieniem później przycisnąć.

Gotuje się też szara kapusta trochę inaczej niż biała. Najpierw płucze się w paru wodach, zależy, czy jest mniej czy więcej kwaśna — potem zalewa się czystą zimną wodą i gotuje — gdyby jeszcze była za kwaśna, odlewa się jeszcze wodę po pierwszem zagotowaniu i zalewa inną wodą, gotującą się. Gdy już zmięknie zupełnie, odlewa się całkiem wodę i miesza z ugotowanym osobno grochem lub ziemniakami, tłukąc razem z kapustą, tłuczkiem od ziemniaków. Kapusta ta wymaga więcej okrasy niż biała, ale jest bardzo pożywna, smaczna i ci, co ją stale jadają mówią, że nie przykrzy się nigdy.

Na taką kapustę w tamtych stronach zbyt jest zawsze, szczególniej dla wojska chętnie ją kupują, a nawet kontraktują w jesieni i dobrze płacą.

Czyby nie warto u nas spróbować takiego użytkowywania liści kapuścianych.

W razie gdyby taka kapusta nie smakowała ludziom nie przyzwyczajonym do niej, można ją użytkować jako dodatek do suchej paszy dla inwentarza, a przyrządzanie jej tak tanio kosztuje, że i tak zachód około kwaszenia opłaci się sowicie.

Kiszonkę nazywa się słusznie „spiżarnią gospodarstwa“, ponieważ dostarcza w każdej porze roku doskonałej paszy, jeżeli materyały na ten cel przeznaczone odpowiednio zakiszono. Zakiszać można wszelką zieleniznę, a zatem wszystko, co ma w sobie „życie“, także okopowizny zakiszać można itd. Najstosowniejszym materyałem do zakiszania w dołach lub w kopcach nad ziemią są liście od buraków i innych warzyw, kukurydza, łubin, cokolwiek uszkodzone warzywa. Kukurydzę zakisza się w dołach w całości lub porzniętą na sieczkę; przy pierwszym sposobie zmienia się liście z odziemkami. Łubin zakiszał w „stóżkach“, a zatem nad ziemią, ze znakomitym skutkiem.

W razie ustawicznych deszczów, tj. gdyby zachodziła obawa zepsucia się trawy (np.

z potrawu), możnaby i trawę zakiszać, stanowiłoby to „ostatnią deskę ratunku“, jakiej rolnik chwytałby się celem uratowania deszczami poważnie zagrożonej paszy. Główną czynnością przy zakiszaniu tej lub owej na ten cel odpowiedniej paszy jest — najdokładniejsze wytłaczanie powietrza, bo pozostałe powietrze powodowałoby psucie się zakonserwowanej paszy. Nadchodzi czas sporządzania kiszonek w gospodarstwie, to też powyższe krótkie uwagi niejednemu rolnikowi się przydadzą.

Gdy beczki ciekną. Sposób, również chętnie używany, jest taki: Bierze się sześć części smalcu wieprzowego, 4 części soli, 3 części białego wosku i 4 części przesianego popiołu drzewnego. Mięszaniną tą smaruje się w stanie rozgrzanym szczeliny beczki, poczem sączenie natychmiast ustaje.

Prosty sposób konserwowania surowego rabarbaru. Z umytych łodyg rzewnia czyli rabarbaru (Patrz opis w Przew. Zdr. 1906 str. 33). należy zeskrobać korę, co jednak przy delikatnych, szybko wyrosłych łodygach nie jest potrzebne. Następnie pokrajać je na małe kostki, którymi bez jakiejkolwiek przyprawy należy wypełnić czyste zwyczajne butelki z szeroką szyjką. Aby módz tego jak najwięcej pomieścić. należy podczas napełniania uderzać po parę razy dnem flaszki o chustkę w kilkoro złożoną na stole, a gdy flaszka już jest należycie pełną, nalać zimnej wody. Flaszkę zakorkowuje się, zalewa dobrze płynnym woskiem lub co jeszcze lepsze parafiną i przechowuje się w piwnicy, chroniąc przed światłem i ciepłem. W tak prosty sposób sporządzony, utrzymuje się rabarbar znakomicie. Jeżeli zechce się użyć w zimie takiej flaszki, to wówczas wytrząsa się z niej kawałki rabarbaru, albo wyciąga się je za pomocą drucianego haczyka i gotuje z dowolną ilością cukru. Do ciasta używa się tylko miażdż rabarbarowy, sok jednak można ocukrzyć i przygotować do picia, albo dodać do gotowanych owoców.

Borówki można również korzystnie w powyższy sposób konserwować. Jeżeli wymytymi borówkami dobrze wypełni się flaszkę, to nie potrzeba ani nawet wodą dolewać, bo przechowywane tak w ciemności i chłodzie, trzymają się znakomicie całymi latami. Barwa i kształt jagód pozostaje prawie nienaruszona, tak, że można ich używać, jak świeżych. Przy użyciu miesza się według upodobania z cukrem albo gotuje się z wodą i cukrem. W tym czasie, gdy rabarbar i borówki są tanie, może nawet najbiedniejsza kobieta przysposobić sobie pewien zapas tych zapraw na zimę, zwłaszcza, że i zwyczajne butelki są bardzo tanie; często są nawet ludzie zadowoleni, jeżeli ktoś sobie flaszki zabiera. Niestety jednak ten rodzaj przysposabiania według podanych doświadczeń nie nadaje się do innych jagód i owoców. Jedynie agrest zerwany całkiem niedojrzały, utrzymuje się również w ten sposób. Wszystkie inne jagody, które zawierają więcej cukru, fermentują. Z doświadczeń tych wypływa wielka korzyść, albowiem praca nie wymaga ognia, czasu zużywa się mało, a konserwy pozostają w naturalnym stanie t. j. surowe i mogą mieć na rynku pokup.

Sprawianie ryb. Najlepszym sposobem zabicia ryby jest przecięcie ostrym nożem kręgosłupa w miejscu, gdzie głowa łączy się z tułowiem.

U niektórych ryb łuska z trudnością schodzi, ktoby chciał czynność tę przyspieszyć, niech zastosuje środek następujący: niechaj wytrze śluz na całej rybie suchą chustą, a następnie włoży rybę do wrzącej wody na 5 sekund. Łuska da się następnie szybko i łatwo zdjąć bez uszkodzenia skóry.

Zabezpieczeuie nasienia przed wronami. Są okolice, w których wrony całemi gromadami na zasiewy opadają i robią wielką szkodę, Ażeby zaradzić złemu, trzeba zastosować następujący sposób. Rozgotować kawałek mydła, gdy ostygnie, dolać do tego nafty, wymieszać dobrze i pokropić przygotowane do zasiewu zboże; nasienie rozmieszać dobrze, żeby wszystko przeszło zapachem nafty, można tak potrzymać do drugiego dnia, to lepiej przejdzie naftą, do kiełkowania nic to nie szkodzi, a ptaki jeść już nie będą. Na 8 litrów wody $^1/_3$ litra nafty i mniej jak $^1/_4$ funta mydła.

Czyszczenie kory drzew owocowych. Jak wiemy kora u drzew starszych jest popękaną a cały pień jest pokryty łuszczącymi się kawałeczkami kory. Kawałeczki te kory mają postać płaskich tabliczek, które z czasem odpadają same. Nim jednak te tabliczki kory zupełnie odpadną, tworzą one szpary, w które owady albo składają jajka, albo same wciskają się, aby przezimować.

Korę pnia należy czyścić pilnie z obumarłych części. Wykonać to można za pomocą, tak zwanej skrobaczki, która ma rozmaite kształty; najlepszy kształt jest małej wy-

ostrzonej motyki. Taką skrobaczkę potrafi zrobić każdy kowal we wsi z grubej blachy lub ze starej zużytej motyki.

Skrobaczką zdrapuje się wszystkie obumarłe części aż do gładkiej kory, bacząc, aby żywej kory nie uszkodzić, przyczem z początku trzeba pilnej uwagi.

Po oczyszczeniu czyli odrapaniu pnia nie powinny pozostać żadne szczeliny lub szpary.

Najlepszą porą do czyszczenia kory jest koniec jesieni i początek zimy, gdyż jajka owadów, jakoteż same owady wystawione przez odrapanie kory na wilgoć i zimno, giną. Wtedy też i rolnik ma dość czasu na wykonanie tej czynności, więc zaniedbać jej nie powinien.

Mchy i porosty znajdują się na gładszych częściach pnia i na gałęziach drzew owocowych. Żyją one kosztem drzewa, wyciągając z niego potrzebną dla siebie wilgoć. Takie porosty i mchy kryją w sobie także ogromną ilość zarodków i owadów, które w nich zimują.

Niektórzy radzą zdrapywać mchy i porosty zapomocą szczotek stalowych. Jest to nie bardzo praktyczne; najlepiej zniszczymy porosty i mchy, smarując miejsca napadnięte rozcieńczonem mlekiem wapiennem, albo co lepiej 2—3% rozczynem witryolu żelaza (na 100 litrów wody 2—3 kg. witryolu żelaza). Porosty i mchy posmarowane takim rozczynem po kilku dniach kurczą się, usychają i same odpadają.

Ryby spadłe z deszczem. Z Turcyi donoszą o wypadku, jaki stwierdzono w bliskości wsi Zarowa, w odległości 30 kilometrów od Selania. Okolicę tę nawiedziła silna, niebywała ulewa, trwająca przeszło godzinę. W następnym dniu mieszkańcy zauważyli na drogach i polach mnóstwo ryb. Wieśniacy, przerażeni tak niezwykłem zjawiskiem, nie chcieli własnym oczom wierzyć i przypuszczali, że to jakieś sprawki nieczyste złych duchów. Ale wobec niezbitej rzeczywistości zabrano się do tego osobliwego rybołostwa, które było zdumiewającem. Zebrano 12 tysięcy kilogramów zdrowych ryb. Były one przeważnie jeszcze zupełnie żywe, a ważyły od 50 gramów do 16 kilogramów.

Przypuszczają, że to trąba morska spowodowała takie zjawisko. Przeszła ona nad morzem wyrzucając wodę z rybami na 20 kilometrów pod Zarową.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. Kołodziejowej.

Kury minorki znajdują się:

Lwów, ulica: Snopkowska L. 8 A. — u Czajkowskiego Władysława.

Nowy Sącz — Zemlowa Klementyna.

Tarnopol — Tarnawski Hipolit.

Złoczów — Korczyńska Teofila,

„ — Soroczak Antoni,

„ — Buczacki Aleksander (minorki czarne).

Jarosław — Towarzystwo chowu drobiu (minorki czarne). Jaja po 20 hal. za sztukę. Opakowanie 60 hal. od tuzina jaj.

OD REDAKCYI.

W ostatnim numerze „Przodownicy“ zaszła nie z winy redakcyi — pomyłka w ułożeniu dalszego ciągu powieści. Prosimy Szan. Czytelników o usprawiedliwienie tego zdarzenia. Za to damy ten ustęp opowieści jeszcze raz poprawnie ustawiony.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 9 i 10 „Przodownicy“ z roku 1907.

WESELE.

— Przyśliśmy prosić państwa na wesele, Maryna nasza wydaje się, w wtorek będzie ślub.

— Bardzo chętnie przyjdę, odpowiadam na to rumianej gospodyni. Ale jeśli ślub dopiero w wtorek, dlaczegoż już dziś goście macie, wszak to sobota.

— U nas już taki zwyczaj, w sobotę się zawsze zaczyna, muzyka gra, sąsiedzi się schodzą.

Józefowa mówi prędko, spieszy się do chaty, bo roboty ma wiele, nie zatrzymuję jej więc długą gawędą, tylko powiadam na pożegnanie:

— Przyjdziemy, wszyscy przyjdziemy do was na wesele, ale sobie wydatków nie róbcie, czasy ciężkie, nie ma za co wyprawiać sutych wesel.

Wieczorem, w sobotę, idę gdzie chata Józefów, lecz nawet do drzwi trudno się dostać, taki ścisk, tłok, wrzawa. Muzyka gra, kumoszki śpiewają, parobcy wykrzykują.

— Niech się nacieszą i zabawią, mówię do mojego, dość tej pracy mają, dość znają biedy, tyle ich radości, co u sąsiadów i krewnych na weselu.

Ponieważ mi trudno wejść do chaty, myślę sobie, siądę w sadzie na ławeczce, przypatrzę się zdaleka i posłucham śpiewania.

Idę w cień śliw, aż widzę w stodole dużo ludzi zebranych.

— Co robicie?

— Jałówkę rozbieramy, zabiliśmy na wesele.

— Cielątko mieliście teraz?

— Nie! Jałówka chowała się ładna, już jej minęło trzeci rok, byłaby z niej krowa niedługo, a tak przyszło wesele, trzeba było zabić.

— Czyż nie szkoda jałówki?

Patrzę, aż tam ogromna sztuka bydła idzie w kawałki, mężczyźni nie bardzo zgrabnie mięso rozbierają, kobiety pakują do cebrzyków i do beczki, dowcipkując przytem wesoło.

— Moja Józefowo, poczynam się żalić, czy to nie mogliście urządzić wesela nieco skromniejszego? Czy to nie było lepiej dać tę jałówkę na gospodarstwo Marynie? Kto was namówił do takiej rzezi strasznej?

— Nikt mnie nie namawiał, jeno u nas tak się należy, ażeby na wesele zabić albo wieprza, albo jałówkę. Pani się dziwują, mnieby cała wieś obsądziła, obgadała, żem córce na wesele żałowała jałówki. Każdy wie, że czasy ciężkie, że drożyzna coraz większa, ale jak wesele, to wesele, trudno. Bywało tak za naszych dziadów, pradziadów, będzie tak i za naszych wnuków.

— Niech Bóg broni, ażeby tak było, odpowiadam na to. Spodziewam się, że wasze wnuki już zrozumieją lepiej, iż weselić się i bawić można bez zbytków.

Ale Józefowa niema czasu słuchać mojego upominania. Zawołali ją do chaty, pobiegła herbatę nalewać i mnie za sobą poprowadziła.

W chacie tłok, ścisk, gorąco nie do wytrzymania. Przy ognisku stoją kobiety i gotują jedzenie. Na ławach zasiedli goście, pan pisarz, pan organista, starosta, stryj i inni. Młodzi tańczą, zbici w jedną gromadę.

Usiadłam przy stole, rozmawiam z gospodarzem. Mój zaś z organistą o nowinach z gazet prawi.

— Niechże państwo będą łaskawi, grzecznie proszę, herbata gorąca, słodka... proszę nie gardzić.

Józefowa podaje w kubkach herbatę, przynosi chleb z serem.

— Moja gosposiu, toż wy się pomylili, wyście mnie nalali araku zamiast herbaty. To ładnie! Chcielibyście, żebym się upiła...

— Niechże pani nie żartuje, ja się nie pomyliła, alem tak po szczerości nalała, jak się należy dla gości z miasta.

Wypatrzyłam się i sama sobie nie wierzę, czy ona prawdę mówi, czy żartuje.

— Niechże państwo nie gardzą i niech piją.

— Ani ja, ani mój nie używamy trunków, to i tej herbaty pić nie możemy, proszę was dajcie nam czystej herbaty.

— Co też państwo mówią, jak to być może, ażeby bez trunków pić herbatę. My innej herbaty nie mamy.

Widzę, iż tam na blasze mają gosposie ogromny żelaźniak z gorącą herbatą, z którego nalewają do kubków, więc proszę:

— Dajcie nam czystej herbaty, bo my z arakiem nie pijemy.

Lecz skoro nachyliłam się bliżej, cofnęłam się zaraz wstecz. Z herbaty tej uderzał zapach rumu tak silny, aż w oczach łzy się kręciły.

— U nas inaczej się herbaty nie gotuje, tłumaczy mi kumoszka, jeno się odrazu wleje litra araku i wsypie herbata, bez tego nie byłoby smaku.

— A u nas, powiadam na to z uśmiechem, nalewa się herbatę czystą i mówi się gościom tak: my nie używamy żadnych trunków, to i państwa traktować niemi nie możemy.

— Czy to co złego arak w herbacie?

— Co szkodliwe to wszędzie złe, czy w herbacie, czy w kieliszku. Już się teraz przekonali ludzie, iż trunki zdrowiu szkodzą, że pieniędzy wiele z kieszeni wyciągają, więc wcale za arakiem nie tęsknią.

Cemuz Boze nie das
Do serca okienka,
Zebym ja móg wiedzieć,
Co myśli panienka.

Ozwał się wesołym śpiewem jakiś parobczak, a na to znowu dziewczęta odpowiadają:

Cebulecki – niecki,
Pietrusecki – przetak.
Kochas mnie chłopczyno,
A ja ciebie nie tak.

— Hu! ha! hu! ha! rozochoceni tanecznicy wołają i kręcą się w koło, jedni drugich potrącają, przydeptując, popychając.

— Moja gosposiu! szepnę Józefowej, niechby wyszli tańczyć na podwórko, w chłodku, na świeżem powietrzu zdrowiej, a tu gorąco, pod blachą się pali, ludzi pełno.

— U nas taka ustanowa, żeby w chacie tańczyli. Jakby wyszli na obejście, toby się we wsi śmiali, powiedzieliby, że taka nasza chata ciasna, iż tańczyć gdzie nie było.

Kiedy tak słucham gawędy Józefowej, odwracam się, bo ktoś głośno woła:

— Wyjdźcie tańczyć na podwórko, to i ja z wami potańczę.

To mój stanął w progu, wziął pannę młodą za rękę i dalejże na obejście.

Ruszyli się muzykanci, poszli inni i ja za nimi.

Podwórko duże. Z lewej strony stara lipa rozłożyła konary. Z prawej kilka wierzb zieleni się. Od pola powiewa wiaterek miły i zapach przyjemny od siana czuć w powietrzu.

Jakże tu ładnie możnaby się bawić, ale cóż, kiedy pół podwórka zajmuje gnojówka, a drugą połowę rozrzucone rozmaite graty, rupiecie i śmiecie. Jakaś rozsypana beczka leży pod nogami, tam grabie złamane wyszczerzyły zęby, tu pół snopa słomy wala się po ziemi.

Szepnął mój do mnie parę słów i dalejże do parobków z poradą:

— Weźmiemy się i posprzątamy.

W mgnieniu oka aż miło było spojrzeć na podwórko. Posprzątali, zamietli i do tańca.

Nie wiem pewnie, ale zdaje mi się, że słyszałam jak dwie gospodynie mówiły do siebie:

— Jakby u nas było wesele, to byśmy posprzątali na obejściu.

Wesoło idzie zabawa. Skrzypki wołają raz po raz: tyli-tyli... będziemy się weselili, a bas mówi powoli: dajcie pić! dajcie pić!...

Nie żałują też picia, roznoszą w dzbanku, nalewają i proszą raz po raz.

W niedzielę znów wieczór było granie i częstunek i picie.

W poniedziałek jeszcze dalsze ceremonie, zaproszenia, rozsyłanie bukietów, przyprowadzanie drużek.

Aż dopiero we wtorek rano proszą, byśmy szli do chaty, bo już do ślubu będą się zbierali.

Wszystko bardzo ładnie się odbywa. Pan organista mowę ma, jakby kazanie prawił. Pan pisarz także statecznie przemawia i do młodego i do młodej, a starsi łzy ocierają, słuchając.

Teraz na środku izby stół postawili, a na nim ogromny bochenek chleba.

Swaty i starościna śpiewają pieśń bardzo żałośną, a Maryna chleb naokoło stołu toczy. Co się chleb raz otoczy do koła, Maryna stół całuje.

Żegnaj Maryś, żegnaj,
Coś chleb tu jadała,
Nie będziesz tu więcej
Przy stole siadała

Śpiewają kobiety, a Marynie łzy się toczą, i dalej chlebem obraca po stole.

Teraz dają jej nożyk w rękę.

Krajaj Maryś, krajaj,
Porozdawaj chleba.
Już ci teraz tobie
Gospodarzyć trzeba.

Śpiewają swachy, a Marysia kraje chleb na cząstki i wszystkim w izbie rozdaje.

Śliczny zwyczaj starodawny za serce mię chwyta. Myślę więc sobie.:

— Chcą cię, młoda gosposiu, nauczyć, jak masz o to dbać, ażeby ci nigdy w chacie chleba nie brakło, ażebyś była prawdziwą gospodynią i karmicielką rodziny...

Teraz Maryna razem ze swoim Jaśkiem do nóg rodzicom pada, teraz stryja i stryjna żegna, teraz chrzestną matkę o błogosławieństwo prosi, teraz i do mnie się zbliża, a ja ją całuję i tulę jako dziecko i szepcę:

— Dajci Boże szczęście!...

Zaczyna się nowa chwila.

Mają siadać na wozy i do kościoła jechać. Drużbowie, parobcy, koledzy i przyjaciele Jaśka biorą go i nie chcą puścić, śpiewając żałośnie:

Szkoda Jaśku ciebie...
Jeszcze jesteś młody.
Zostań jeszcze z nami,
Użyjesz swobody...

A Maryna i drużki ciągną Jaśka do wozu i śpiewają:

Kościołek, kościołek,
Na kościołku krzyżyk..
Pamiętaj Jasieczku,
Żeś mi słówko przyrzek...

Na wspomnienie o tem przyrzeczeniu słówka już Jasiek siada na wóz przy Marynie, a basy w tyle, drużki na przedzie, dalejże żywo do kościoła...

Jedzie wozów kilkanaście!

Drużbowie na koniach osiodłanych, z dzwonkami jak przy sankach, harapy w rękach. Aż gościniec dudni, aż echo od lasu bije, taka radość i śpiewanie.

I mój z niemi pojechał, a ja zapatrzyłam się, dokąd ostatni wóz nie wjechał w las cienisty.

Aż tu słyszę jakiś turkot.

Obracam się, z przeciwnej strony zajeżdża wóz i staje przed bramą.

Wybiegł szwagier Maryny, sąsiad Rębczak, stary młynarz do pomocy. Zdjęli z wozu beczułkę piwa i wnieśli do komory.

Aliście wracają i biorą drugą.

Ba! żeby to był koniec!

Oni jeszcze trzecią beczkę z piwem taszczą do chaty.

— Bójcie się Boga, ludzie! co robicie? — wołam z gniewem -- czy to wy propinacyę całą chcecie tu przenieść, czy wy tu zakładacie szynk nowy?... Po co tyle beczek piwa, ażeby się parobcy popili, a potem, żeby się bili i kaleczyli nożami, jak to nieraz bywa?...

Szwagier Maryny, już dobrze podpity, zaczyna mi tłumaczyć, że bez piwa wesele być nie może, że nie byłoby żadnego szczęścia w tem stadle, że nie wiodłoby się im i t. d.

A stary młynarz znów inaczej wyjaśnia.

— Ustanowa taka, moja pani, ustanowa tak, co z dziadów, pradziadów było, to trzeba utrzymywać. W tej wsi takie mają obchody przy weselu, w tamtej inaksze, ale picie wszędzie musi być sute i koniec.

— Wieleż to piwo kosztuje, które teraz z propinacyi przywieźli? — pytam.

— Niby po piątce cztery beczki, to wypada dwadzieścia papierków. A przywiezie jeszcze Szloma wina i araku, to wyniesie coś na pół czternasta reńskiego...

— Okropność!... jak można tyle wydawać pieniędzy na pijatykę!...

— Co się pani dziwuje? Tego roku na wiosnę, na chrzcinach u Soja, co za rzeką tam ma murowaną chatę, za 90 papierków poszło trunku.

— A u kowala w tamtej wsi, co to widać kościół, to łońskiego roku na weselu córki poszło picia za stówkę.

— Wieleż on dał posagu córce, jeżeli mógł dać stówkę na picie?

— Jaki tam posag! Dostała jedną chudą krowinę i coś trzy poduszczyny.

— Nie wierzę, żeby to była prawda. Nie wierzę, ażeby on zapłacił 100 złr. za picie, a córce nic nie dał na początek gospodarstwa.

— On wcale za picie nie zapłacił. Wziął na dług u arendarza, za ten dług dał jemu 9 zagonów pola i pół łąki. Dokąd nie spłaci pieniędzy, żyd będzie ziarno zbierał i pole orał.

Bardzo mi się smutno zrobiło w sercu i w myśli. Spoglądam jeszcze raz na te beczki wtaczane do komory i zwróciłam się do swej chaty. Ale wybiega chrzestna matka panny młodej i zaprasza.

— Niechże pani przyjdą, niechże poczęstuję, tak się nie godzi odchodzić z wesela! W chacie niewiele ludzi.

Siedzą na ławach, śpiewają, opowiadają rozmaite zdarzenia.

Mnie podają mięso, kapustę, chleb, wino. Radabym jeść, ażeby nie zrobić przykrości kobietom, które mnie bardzo serdecznie zapraszają, ale mięso tak ugotowane, iż go rzpełknąć nie można. Chleb lepki i wpół surowy. Kapusta jakimś starym tłuszczem cuchnie. A to wino, to jakiś farbowany spirytus, w którym z pewnością ani kropli wina prawdziwego niema.

— Jakże wyście gosposiu to mięso gotowali? pytam umyślnie, ażeby się przekonać czem smak jego zepsuto.

— My proszę pani tak, po naszemu, jak się należy, tak z imbirem, kolendrą, majerankiem, z wódką razem, trochę ałunu, ażeby skruszało.

— I nie szkoda jałówki? I nie szkoda tyle mięsa?

— Pewnie, że szkoda moja pani, za tę jałówkę to dawali mi na rękę 75 reńskich, ale jak wypadło wesele, to nie poradzi.

— Jak to nie poradzi?... Zrobić wesele skromne, pieniądze dać na lepszy użytek, a jałówkę było dać im na gospodarstwo.

— Jużci, każdy powie, żeby to było dobrze każdy radby tak zrobić, ale nie da rady. Ustanowa z dziadów, pradziadów, obyczaj dawny, musi tak być.

— Moja kochana gosposiu! Trzeba raz dobrze się nad tem zastanowić co z dziadów pradziadów zostało wam do naśladowania, a czego naśladować nie powinniśmy. Wiele rzeczy bardzo ładnych i dobrych i poczciwych z dawnych lat, jak pamiątki i zwyczaje narodowe, powinniśmy i musimy zachowywać bo w tych obchodach, zwyczajach, pieśniach, kryje się dusza narodu, cecha narodowa. Ale jest wiele takich rzeczy, które już raz należy odrzucić, bo to są w a d y a nie zwyczaje. Miewali nasi dziadowie, pradziadowie dymne chaty — już odrzuciliście, boście się przekonali, że zdrowiej i lepiej, kiedy dym wynosi się kominem nad dach. Nie umieli nasi dziadowie i pradziadowie czytać i pisać, a wy już umiecie prawie wszyscy, boście się przekonali, iż lepiej i wygodniej z książką w ręku. Tak samo przekonacie się kiedyś, że będzie i lepiej i zdrowiej bez wódki i araku i że będą mogły być wesela bez kosztów 200 reńskich. A jeśli już chcecie zrobić koszta, to dajcie pieniądze na początek nowego gospodarstwa, a mięsa kupić parę kilo, dobrze i smacznie upiec, będzie lepiej smakowało, jak to, w dziwny sposób gotowane.

Rozmawiamy, aż i dzwonią dzwonki jak u sanek. pieśń radosna płynie. To drużbowie gonią na spienionych koniach, oznajmując, iż już wesele jedzie z kościoła. Wychodzę na drogę, aby popatrzeć jak zajeżdżać będą przed chatę, lecz wszystkie wozy skręciły na prawo.

— Gdzież pojechali?

— A do karczmy po zwyczaju.

— Bardzo smutny i brzydki zwyczaj, ażeby wprost z kościoła jechać do karczmy. Czyż jeszcze mało tych beczek z piwem i tych flaszek z arakiem? Czyż jeszcze tam trzeba wstępować?

— Zostawiłem ich, mówi mój, idąc gościńcem, bo jużci w karczmie bawić się nie będę.

— Trzeba było skłonić ich koniecznie, ażeby wprost tu jechali.

— Prosiłem, lecz powiedzieli: taki zwyczaj! Jakby to zwyczaju złego nie można na dobry odmienić.

— — — — — — — — — — — — —

Jak długo bawiono się w karczmie, nie wiem, bośmy poszli do domu. Kiedy zaś wieczorem przyśliśmy, ażeby popatrzeć się na tańczących, zastaliśmy znowu zbity tłum w ciasnej chacie, gdzie ani nie było można dobrze tańczyć, ani starsi nie mogli gawędzić spokojnie.

— Czemu nie tańczycie w ogrodzie?

— Nie ma tego zwyczaju. Wyśmieliby się we wsi, że chata ciasna, że się wesele po oborze tłukło.

– A jakby kto we wsi zbudował dużą, obszerną izbę na czytelnię, na zabawy, na wesela, ażeby do karczmy nie zajeżdżać i w ciasnych chatach się nie dusić.

— Jakby kto się odważył na to, możeby i dobrze było, odpowiada pan pisarz.

Ale ja poznałam, iż on sam nie bardzo w to dobro wierzy.

Teraz zaczynają się czepiny.

Zabawa staje się coraz weselsza. Wszystkie zamężne kobiety otaczają Marynę kołem i chcą jej zdjąć wianek, a dziewczęta i parobczaki wyrywają Marynę z rąk kobiet i nie chcą jej dać czepić.

Co tu przytem śpiewu, co tu figlów i dowcipów, aż się za boki brać trzeba od śmiechu.

— No! myślę ja sobie, jakby to nasi niejedni z miasta takie czepiny widzieli, toby się może zawstydzili, iż oni nasze po miastach wszystkie stare zwyczaje zaniechali, a już takie wesela urządzają, iż w nich niema nic

z polskich dawnych pamiątek. Bardzo to ładnie i dobrze, iż po wsiach weselne obrzędy, śpiewy i zwyczaje są zachowane i szkodaby się stała, gdyby to zapomniano. Tylko obyczaj zabijania jałówek i kupowania za 100 koron piwa, to szkaradne i bardzo szkodliwe.

Co się teraz dzieje z Maryną?

Siedzi w czepcu na dzieżce, niewiasty stoją do okoła, przyprowadzają młodego i każą, ażeby szukał, gdzie jego żona. On szuka, chodzi, pyta wszystkich, gdzie jego Maryna, a gdy mu ją pokazują, odpowiada:

— To nie moja Maryna, jakaś stara baba.

Podnieśże Maryna
Oczy do stragarza,
Abyś wyhodowała
Syna na cesarza.

Śpiewają kobiety i rzucają Marynie pieniądze w podarku na szczęście, na gospodarstwo, na początek. Po kolei przychodzą zamożne i poważne gospodynie dają i po dukacie i po piątce.

— Jak dużo jest bogatych gości, wyjaśnia mi jedna z gospodyń, to sobie młoducha nazbiera dość. Czasem 40—50 reńskich nazbiera przy czepinach.

— Cóż sobie za to kupi?

— Albo to jej nie trzeba miski, łyżki, garnka, naczynia, wszystkiego jej potrzeba,

— Jak to? czyż jej rodzice wyprawy nie dają? Nie przygotowaliż jej na gospodarstwo jak należy i przyodziewy i naczynia?

— Gdzie tam, kto kmieć i bogaty, to da córce oporządzenie wszelkie, ale takich dziś bardzo mało. Maryna także biedna, będzie miała spłaty z tej chaty piątą część i cztery zagony na półtora korca siewu. To i cały majątek.

Gdy słyszę te słowa, żal mi się zbiera coraz serdeczniejszy.

Dlaczego ci ludzie tyle pieniędzy wydają na wesele huczne i sute, a nie dają nic dziecku na gospodarstwo, na to, ażeby ona mogła zacząć bez długów, jak należy, nowe życie.

Ale co pomogą moje żale i smutki.

Wesele staje się coraz weselsze. Coraz głośniejsze śpiewy i coraz raźniej grają muzykanci.

Co chwila któryś z parobczaków płaci taniec, rzuca w basy pieniądze, śpiewa, aż głos echem się odbija i obracając się z dziewuchą do okoła, powtarza:

Wy mondrzy ludzie
Co gwiazdy liczycie
Cyli tyz o Jasiu
Moim, co nie wiecie?

Wyciąga cieniutkim głosikiem Basia czarnooka, a Mikołaj cieślów odpowiada:

Ustanie, ustanie,
To twoje śpiewanie,
Skoro się tu przyjdzie
Starać o śniadanie.
Starać o śniadanie
Myśleć o obiedzie,
Wyglądać Jasieczka,
Z której strony jedzie!

Ochota taka zbiera wszystkich, że i ja z panem podwójcim ruszam w tany, a mój odbiera Jaśkowi Marynę i przytupuje raźno nogami...

Dlaczegóż się nie możemy razem poweselić i pobawić? Szlachetna, uczciwa zabawa nie grzech, a choć dość nas wszystkich bieda gniecie, choć to każdy dźwiga dość ciężarów i trosk na głowie, jakoś przecie na chwilę może o nich zapomnieć. Starzy Polacy powiadali, iż człek powinien być i do tańca i do różańca. Wszak i Chrystus z Matką Swoją brał udział w zabawie na godach weselnych.

Bawimy się więc raźno, śpiewy i tany nie ustają, a pogodny, jasny miesiączek przypatruje się na nas i niby uśmiecha się jak staruszek do dzieci.

Aż tu nagle basy ucichły. Skrzypce jękły jakimś żałosnym tonem, a w miejsce muzyki krzyk straszny słychać dokoła.

— Ja zapłacił, mój taniec! woła jeden parobczak.

— Nieprawda! ja zapłacił, teraz moja śpiewka pierwsza.

Jak koguty skaczą do siebie, ten złapał tego za kołnierz, tamtego ciągną kumoszki do siebie, tego odciągają starsi, ażeby się nie bił.

— O co się tak pogniewali? pytam pana pisarza.

— O taniec. Na każdy taniec parobczaki rzucają do basów pieniądze, a ten, co taniec zapłacił śpiewa przed muzyką i muzykantom rozkazuje, co grać mają.

— Powinni się zgodzić, nie brać do bicia, bo to brzydko i zabawę psuje.

— E! u nas tam nie dziwno, jak się na weselu pobiją. Nawet sobie to za honor mają, bo powiadają, że lepsza zabawa i lepszy był poczęstunek, kiedy się bili. Tamtej jesieni, cieśla jeden wydawał córkę, wesele zrobił

uczciwe, bez trunków, to potem po wsi naśmiewali się mówiąc: co za wesele, kiedy się na niem nie bili.

— Może jednak na tem weselu obejdzie się bez tych dzikich bijatyk.

— Nie można wiedzieć, to już od parobków zależy. Najczęściej idzie im o taniec albo o dziewczynę. No! widzi pani, znowu się czubią. Ha! ha!... aż im oczy się palą gniewem. Nie dadzą rady kumoter. Trącili Grzegorza, co ich uspokajał... o! o!... już Maciej na ziemi, krew.

Pan pisarz porwał się, skoczył w tłum.

Kobiety zaczęły płakać i narzekać, dziewczęta zbiły się w kąt.

Podnieśli Macieja, krew mu zalewała oczy, twarz, sączyła się na białą koszulę.

Okropny widok. Nie czułam prawie uderzeń własnego serca, tak byłam przerażona tem całem zdarzeniem.

Złożono rannego na sianie w stodole, wodą go obmywają, wodę do ust wlewają.

— Ciął go przez głowę jak nożem, nie żałował ręki, mówi organista.

— Szkaradny człowiek, drżąca i gniewna na to powiadam, czyż nie wie, iż za takie rzeczy kara i grzech?

— Co tam, on zaraz w drugi taniec pójdzie i dalej pić i śpiewać będzie.

Istotnie, jakby nigdy nic smutnego i złego się nie stało, muzykanci skrzypki nastroili, zasiedli na stołkach i zaczynają grać niemieckiego walca.

Przeciskam się przez tłum do nich i pytam:

— Pocóż gracie? Czyż jeszcze kto tańczyć będzie, gdy się tu krew polała? Czyż myślicie, iż niemieckim walcem zachęcicie do tańca?

A oni patrzą na mnie zdziwieni i uśmiechają się tak serdecznie, jakby mieli jakieś dziwowisko przed sobą.

— Czegóż się ze mnie śmiejecie? pytam coraz więcej zagniewana, wszak mówię nie na żarty, zabawy już wesołej niema tam, gdzie się ludzie kaleczą i krwawią.

Czerwony, pijany parobek staje przedemną i bełkoce jakieś wyrazy, których zrozumieć nie mogę. A potem rzuca garść pieniędzy do basów, bierze Rózię czarnooką i prawdziwego niemieckiego walca tańczą, jakby to byli rodowici Niemczyska z pod Berlina.

Cofnęłam się parę kroków wstecz, ażeby mię nie przydeptali roztańczeni, a ujrzawszy pisarza, pytam:

— Więc oni dalej będą tańczyć?

— Co im tam taka przygoda. Pobiją się, przeproszą się, jeszcze ten sam Maciej hulać zacznie za godzinę.

— A czyż nie byłoby lepiej, gdyby się bez bicia i picia obchodzili? Czyżby przychodziło do takich zwierzęcych scen, gdyby ci wszyscy byli tu trzeźwi? Wszak właśnie przy zabawie najlepiej się okazuje oświata ludzi, bo tylko dzicy znachodzą przyjemność w tem, aby się zabijać i mordować, a ludzie szlachetni wolą raczej sami znieść ból, jak drugim go zadać. Poeta nasz, Asnyk, powiedział w pięknym wierszu:

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje,
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej się da skaleczyć, niż drugich zadraśnie.

Przy robocie, przy pracy żmudnej, nie zaczynają się ludzie tak łatwo kłócić i gniewać, bo nie mają czasu na to. Przy zabawie, jeszcze gdy ich gorące trunki rozpalą, to wtedy dopiero wszystkie wady pokazują się. Ten obraźliwy, ten uparty, ten gniewliwy, tamten dokuczać lubi. Nie są to wtedy najszlachetniejsze serca, które raczej wolą się dać skaleczyć, niż drugich zadrasnąć, lecz są to kamienie, które chcą wszystkich poranić...

— Dobrze to pani mówią, ale... cóż na to poradzić, ażeby ludzie przy zabawie byli szlachetni?

— Przedewszystkiem nie rozpijać ludzi przy zabawie, a potem nie za dużo czasu na zabawę poświęcać. Wy się tu bawicie już od soboty, prawda? a dziś kończy się wtorek.

Usiedliśmy z panem pisarzem i dwoma kumoszkami pod śliwą, przypatrując się tańczącym. Kręcili się w kółko i śpiewali nieładne pieśni, na wpół niemieckie.

— Skąd oni nauczyli się niemieckiego tańca?

— To z wojska przychodzą urlopniki i zaprowadzają nowomodne tańce, a także i ci, co do Prus, do Ostrawy jeżdżą na roboty, ci także uczą po wsi nowych tańców i śpiewanek.

— Gdybym ja była gospodynią w tej chacie i gdyby moi goście tak zaczęli po niemiecku śpiewać i po niemiecku tańczyć, tobym im tak zrobiła, jak zrobiła jedna bogata czeska pani swojemu gościowi na balu. Sam ten pan opowiadał mi o tem. Był zaproszony na bal do domu jednego posła w Czechach. Zebrało się we wspaniałej sali mnóstwo ludzi, wszyscy w strojach bogatych, wszyscy

uczeni i sławni. Wtem jeden z wyższych oficerów zaczął rozmawiać po niemiecku. Pani domu zbliża się do niego i prosi:

— Niech pan nie zapomina o tem, iż jest w domu czeskim, a tu mówią tylko ojczystym, narodowym językiem.

Tak i niejedna gospodyni powinna powiedzieć parobczakom, którzy z wojska przychodzą:

— Nie rozmawiajcie po niemiecku, nie zaprowadzajcie niemieckich pieśni i tańców, bo my tu w polskiej wsi, w polskiej chacie, obcych zwyczajów nie potrzebujemy przyjmować. Po co nam szwabskie walce? Czy nie śliczne nasze krakowiaki, oberki i mazury?...

Rozmawiamy jeszcze i o tem i o owem, aż wreszcie zaczynamy się żegnać, czas pomyśleć o spoczynku.

Zbliżam się do młodej w barwnym czepcu, całuję ją w czoło, żegnam się jak z córką i mówię:

— Dajże ci Boże wszystko jak najlepiej na nowem gospodarstwie!...

— Jakto? to pani na przenosiny nie przyjdą? — pyta Józefowa ze zdziwieniem.

— Na przenosiny?... Kiedyż będą?

— Jutro wieczór, niechże pani przyjdą obaczyć już to wesele wiejskie do końca.

— No to przyjdę. Chcę poznać wasze zwyczaje, więc przyjdę, ale nie pijcie dużo, ażeby znowu kto się nie bił i nie kaleczył.

Miesiączek jasny spoglądał na nas z nieba, gdyśmy wracali do domu, a we wsi pusto i głucho. Całe życie, ruch, radość, wszystko tam, gdzie wesele.

Marcinowa, młoda kobiecina, zostawiła troje małych dzieci i jak zaczarowana na weselu siedzi, ani jej przez myśl nie przejdzie, co się z dziećmi w chacie dzieje.

Walentowa zostawiła matkę chorą przez cały dzień, ani na chwilę nie wbiegła do chaty.

Z radością myślałam o tem, iż wesele to kończy się dzisiaj i wrócą ludzie do swoich obowiązków, aż dowiedziałam się jeszcze o przenosinach.

— Jutro już będzie koniec — mówię do mojego — to już wieś cała wróci do spokoju i pracy.

— — — — — — — — — —

Na drugi dzień rano opowiada mi sąsiadka:

— U Balikowej cielę się udusiło wczoraj, a u Zabicy za młynem zadławiła się świnia. Wszystko przez wesele. To za każden raz, jak jest we wsi wesele jakie, zawsze musi być jakiś wypadek. Jeszcze dobrze, że się bez ognia obeszło. Nieraz to się i w dwóch miejscach pali. A raz, pamiętam dobrze, to aż trzy trumny było we wsi przez wesele. W jednej chacie dziecko się spaliło, w drugiej chacie stara matka spadła z drabiny i zabiła się. Chciała zrzucić siana krowie, bo z głodu ryczała, a matka niemocna już była i spadła z góry. A trzecia trumna była dla samego młodego, bo go na weselu zabili urlopniki.

— Jezus! Marya! czy to być może?

— Tak, moja pani, tak u nas na weselach się wydarza. Już ksiądz proboszcz chciał co przeciw temu radzić, już zabronił, ażeby śluby brali w niedzielę, bo bywało wesele zawsze przez cały tydzień, ale to niewiele pomogło. Choć we wtorek do ślubu jadą i tak w sobotę zaczynają. A co się ludzie stracą na takie wesele, a co długów porobią. to czasem do końca życia ich nie spłacą! Jest tu jeden gospodarz, uczciwy i porządny, miał trzy córki, jak zaczęli tym córkom wesela sprawiać, tak im cały grunt za długi wzięli i teraz na komorne poszli.

— A wy swojej córce takie wesele będziecie sprawiali? Już przecie widzicie i poznajecie, że to źle, już rozumiecie, iż szkoda tyle długów nabierać na siebie i dźwigać je jak ciężary, kiedy można obejść się bez tego.

— Moja pani kochana! Z szczerością odpowiem, iż choć widzę, co źle, nie mogę inaczej robić, jak robią wszyscy, bo we wsi ludzie strasznie są na to uparci, ażeby było wszystko jak było. Niech się tylko kto odważy inaczej zacząć obchodzić, czy przy chrzcinach, czy na weselu, to go znienawidzą, to go obgadają, to go sponiewierają i będą przezywali w długie lata.

— Więc trzeba dzieci uczyć, ażeby odwykały od takich złych nałogów. Starsi już się nie odzwyczają, ale dzieci dadzą się do tego nakłonić. Oświata, to jak słońce, gdy dobrze zaświeci, to i w najdalszy kącik jeszcze jasność rzuci. Gdy ludzie będą więcej czytali, gdy więcej oświaty posiędą, wtedy poznają, iż wiele popełniają omyłek w swoich czynach, a przy zabawie więcej trzeba mieć i rozwagi i rozsądku, jak przy pracy. Praca sama jest dobrą rzeczą. Praca sama chroni od rozrzutności, pijaństwa, kłótni i t. d., ale zabawa to rzecz niebezpieczna. Jeden krok, a już nie jest zabawa, lecz rozpusta. Jedna chwila, a już nie jest weselenie się, lecz mordowanie się wzajemne. Wy jesteście mądra kobieta, wy rozumiecie dobrze, co złe a co dobre,

dlatego powinniście powoli między sąsiadkami i kumoszkami o tem radzić, jak wesela po wsiach ulepszać.

— Nie posłuchają. moja pani, jak co nowego — nie posłuchają.

— A dlaczegoż słuchają i powtarzają nowe, na pół niemieckie pieśni? A dlaczego nauczyli się po niemiecku tańczyć walca, zamiast polskiego krakowiaka? A dlaczego nauczyli się kupować niemieckie surduty, a zarzucili polskie sukmany? Widzicież, przyjmują nowe rzeczy, ale od starych nałogów odstąpić nie chcą.

Przyzwyczajenie to tak jak garb na plecach trudne do wyleczenia. Największa praca oświaty jest właśnie na to skierowana, ażeby złe przyzwyczajenia uleczyć. Takiem złem przyzwyczajeniem jest urządzanie wesel przez kilka dni, kupowanie trunków i wydawanie pieniędzy nad możność.

Wieczorem poszliśmy na przenosiny. Żegnała się młoda z ojcem i matką, z chatą i progiem, stołem i piecem. Śpiewali jej goście żałosne i piękne pieśni. Muzyka czekała przed wrotami, drużbowie i druchny także. Już trzeba iść:

A tak moja młoda gosposiu! Już ci iść trzeba!... Już teraz nie na śpiewanie i nie na tańce, ale na pracę, trud, obowiązki i na życie długie otwarta droga. Wesela, powiada przysłowie, jeden dzień, a biedy i kłopotu cały wiek.

Zagrała muzyka, prowadzą młodych.

Drużbowie figlują. Ten chwycił stary garnek, tamten miotłę, wiozą niby to skarby zabrane z chaty rodziców. Tam na wóz położyli parę poduszek, małą skrzynię na przyodziewę, stołek jeden.

— A czyż to krowy jej nie dadzą? — pytam z cicha sąsiadki.

— Gdzie tam krowa! Zjedli na weselu i koniec.

— A czy jej to nie dadzą naczynia do chaty, mąki do komory?

— Za cóżby kupili, kiedy już więcej jak 40 złr. winni w propinacyi za trunki.

Biedna Maryna! Żal mi jej. Ona idzie, płacząc, a ja także smutno za gośćmi się posuwam.

Biedne dziewczę było, za biednego za mąż wychodzi, a rodzice zamiast się potroszczyć o to, ażeby ją zaopatrzyć na nowe gospodarstwo, sprawili wesele huczne i wpadli w długi.

Przyszliśmy do chaty młodego.

Staruszkowie, rodzice jego, wyszli na przeciw z chlebem i solą, wyszedł brat z bratową, dzieci troje.

Chata nizka, zapadła w ziemię, do niej wprowadzają młodych.

— Czy po drugiej stronie jest izba dla nich? — pytam znowu sąsiadki.

— Niema nic. Oni tu razem będą mieszkać. Rodzice, brat z żoną i oni.

— Ach! jakże to będzie ciasno, niewygodnie, a wieleż to będzie swarów i kłótni! Czy to można żyć w świętej zgodzie i ciszy, gdy się trzy stadła mieści w jednej, ciasnej izbie?

— Czemuż oni nie zaczekali z weselem, ażeby sobie byli chatę zbudowali, myślę sobie... nic gorszego nad takie żenienie się, gdzie to kilka małżeństw razem mieszka. Lepsza chatka, choćby i uboga, ale własna, jak wspólne mieszkanie z innymi. Trzy gospodynie przy jednym piecu nie łatwo się zgodzą.

I znowu mi stają przed oczyma te beczki z piwem, te flaszki z winem i arakiem i znowu mi żal za tą jałówką zmarnowaną, bo widzę, iżby za te pieniądze, co poszły na trunki, można było pół chaty mieć, a jałówka byłaby długie lata służyła jako karmicielka.

Maryna strwożona i spłakana za stołem siada, swaty i kumoszki wokoło, zaczyna się znów przyjmowanie. Tłusta kasza ze słoniną, mięso z kartoflami, piwo...

Wesele się jeszcze nie kończy. Tańce zaczynają się na nowo, od śpiewów echo aż daleko płynie.

Zmęczona już tem wszystkiem i zasmucona tym widokiem ciemnoty, wysunęłam się niepostrzeżenie i wróciłam do domu.

Długo, bardzo długo, w noc słyszałam okrzyki wesołe, dolatujące z chaty, gdzie się odbywały przenosiny.

Było to w środę w nocy.

W czwartek wieczorem słyszę muzykę przed oknem.

Patrzę, a to muzykanci ci sami, co grali na weselu, stoją teraz przed mojem mieszkaniem i rzną co się zowie ochoczo.

Do izby wchodzą młodzi. Ubrani odświętnie, chylą się nizko.

— Przyszliśmy prosić na poprawiny.

— Co, jeszcze się bawicie? Jeszcze wam mało tego wesela?

— A tak po zwyczaju, jak bywało.

— Więc od soboty do czwartku bez przerwy sześć dni i sześć nocy wesele sprawiacie? Ależ moi kochani, na takie wesele to trzeba

złotych czasów, płynących miodem rzek i dającej 1000 razy więcej chleba ziemi. Gdzieś tam dawniej, w Polsce wolnej i bogatej i szczęśliwej, kiedy bogactwa było wiele, a ludzi mało, a robota nie pilna, to się mogli nasi pradziadowie bawić i bawić przez cały tydzień. Ale teraz, kiedy trzeba oszczędnie żyć, kiedy trzeba mozolnie pracować, kiedy ludzi coraz więcej, a ziemi coraz mniej, teraz nie można nam na wesele poświęcać i tyle czasu i tyle pieniędzy.

Rozgadałam się, ale to wszystko na darmo.

— Ustanowa u nas taka, prosimy na poprawiny, powtarzają młodzi i chylą się do moich rąk.

Jednak nie poszłam na poprawiny, bo już mi tego wesela było za dużo.

Na drugi dzień myślę sobie:

— Już święty piątek dzisiaj, to pewnie dadzą spokój z weselem. Czas, ażeby wieś do spokoju i pracy wróciła.

Znać też było we wsi inne życie.

Przez dnie tego wesela, to nawet bydła nie było komu paść, bo dzieci uciekały patrzeć na wesele. Nie było widać żadnego ruchu przy chatach, ani żadnej pracy w polu. Wszystko jak skamieniałe stanęło, bo wesele we wsi i wszystko tem weselem jest zajęte.

W sobotę wieczór słyszę znowu granie.

— Co, nowe wesele się zaczyna? No! jeśli tak będzie jeszcze przez tydzień, to pół wsi z głodu zginie.

— To jeszcze kończy się tamto wesele.

— Nie może być! Nie wierzę! Choćbyście mi dziesięć razy mówili, że tak, to nie wierzę. Nie może być, ażeby oni jeszcze dalej wesele ciągnęli.

Mówię to do sąsiadki, a ona uśmiecha się jakoś dziwnie i rzuca okiem w stronę wsi.

Patrzę i ja, aż o dziwo! Idą muzykanci, drużbowie, druchny, wszystko do mnie i druchny proszą:

— Kłaniają się państwo młodzi, proszą pięknie na oblewanie.

— Dajcie mi spokój!... Ja nie mam czasu ośm dni na weselu siedzieć. Poszłam z chęcią i przyjaźnią na wesele, bo miło mi było z wami bawić się, ale kiedy tyle czasu marnujecie i tyle pieniędzy tracicie na wesele przez ośm dni, to już nie chcę nigdy żadnego wesela na wsi.

Spojrzały na mnie druchny trochę przelęknione, a jeden drużba, trochę pijany, zaczyna mi tłumaczyć:

— Oblewanie musi być wedle tego, aby im się dobrze gospodarowało, ażeby w komorze nie było pusto, a w polu nie było bez zboża. Kto był na początku — musi być na oblewaniu.

— Czyli na końcu?

— A oblewanie to jeszcze nie koniec.

— Co? I to jeszcze nie koniec? — wołam już bardzo zniecierpliwiona.— Więc wy jeszcze dziewiąty dzień będziecie mieli na zabawę?

A druchny mi całkiem szczerze odpowiadają:

— Jutro jeszcze będzie „przepraszanie"...

— Dalibyście spokój — zaczynam nieco łagodniej — dalibyście spokój!... Chcecie, ażeby młodym w komorze nie było pusto, a w polu nie było bez zboża i na to robicie oblewanie. Powiem wam szczerze, że będzie i w polu i w komorze i w całej wsi pusto i bez grosza, jeśli wy przez dziewięć dni będziecie wesele sprawiali. Ja się dziwię niezmiernie, że na to i ksiądz i pan nauczyciel patrzy, a was nie oduczają od takich zbytków.

— Ksiądz się gniewa, ksiądz tłumaczy, ale to nie pomoże. Dawny zwyczaj. Pan nauczyciel także uczy i radzi, ale tak ojcowie prowadzą, tak swachy i swaszki utrzymują. Jakby chcieć zrobić wesele inne, toby żadna za swaszkę nie poszła, powiedziałaby, że jej wstyd iść za swaszkę tam, gdzie nie obchodzą porządków dawnych.

— Ale moi kochani, zrozumiejcie to, iż życie dzisiejsze nie może się stosować do zwyczajów dawnych lat. Wtedy, kiedy zaprowadzano takie sute i długotrwałe wesela, inne były czasy. I ludzie mieli mniej oświaty, i wszystko było tańsze, a robota nie pędziła jak machina parowa. Żal mi bardzo, iż wam odmawiam, ale już ani na oblewanie dziś, ani jutro na przepraszanie nie pójdę.

Wrócili dróżbowie i drużki, wrócili i muzykanci, a wszystko już było takie zmęczone, iż ledwie się wlokło.

W niedzielę jeszcze „przepraszanie" trwało całą noc.

— — — — — — — — — —

Na drugi rok przyjeżdżam do tej wsi, pytam, co nowego, i dowiaduje się, iż Józefowie już z chaty wyrzuceni za długi, że Maryna bardzo chorowała, ciągle się trapiła, bo z bratową nie mogła się w chacie zgodzić, że są teraz także na komornem u kowala, ale bieda u nich wielka.

— Wesele było jakby u bogaczy, którzy mierzą złoto garncami, a teraz przyszła bieda

i troski, powiadam na to, czy nie należy pomyśleć o tem, ażeby zmienić takie zwyczaje?

— A u państwa w mieście nie sprawiają wesel bogatych?

— U nas w mieście są także ludzie roztropni i oszczędni, a są i pyszni, lekkomyślni, którzy wolą wpaść w długi jak skromne wesele urządzić. Ale w mieście wesela nikt przez osiem dni nie ciągnie. Na takie „Hulaj dusza!“ to już nikt rozsądny nie powinien się odważać. Osiem dni zabawy, to chyba w raju mogli byli pierwsi rodzice wyprawiać, gdy miała ziemia rodzić plony bez trudu człowieka, gdy wszystko miało człowiekowi ku jego wygodzie służyć. Ale teraz, w twardej pracy, w dobijaniu się o kawał chleba tak się ludziom bawić nie wolno.

— Jakżeby pani myślała wesele urządzić? bez druchen, bez swaszek, bez obchodów i bez śpiewów?

— Nigdybym nie chciała, ażeby zwyczaje, śpiewy i obrzędy nasze piękne wytępić, tylko to można urządzać bez dziesięciu beczek piwa, bez 100 kilo mięsa i bez ośmiu dni zabawy. Jeden, a jeśli już koniecznie trzeba, dwa dni wesela, a potem praca.

— A czepiny? a poprawiny? a przenosiny?

— Jeśli już nie może się to odbyć w tym samym dniu, w którym jest ślub, to ostatecznie można zrobić tak: Na drugi i na trzeci dzień po weselu pracować jak się należy, a wieczorem zebrać gości na poprawiny, czy na przenosiny.

Lecz sąsiadki nie bardzo rade na ten mój plan. Nie byłoby radości jak należy, ani nie byłoby śpiewania raźnego, gdyby ludzie przez dzień się napracowali, a jeszcze i bez picia mieli poprawiny obchodzić.

Wzdychają moje kobieciny żałośnie, słuchając o weselu obciętem z ośmiu dni na dwa, wzdycham i ja, przekonawszy się, iż nie tak łatwo ludziska odzwyczają się od rozrzutności w zabawie.

Jeszczem nie odeszła daleko od grupy kobiet, z którymi rozmawiałam, aż patrzę, idzie Maryna.

— Boże Wielki! cóż się z niej zrobiło? Wymizerniała, schudła, zczerniała, oczy podsiniałe, na twarzy wyraz bólu.

— Jak się masz? Cóż u ciebie słychać?

— Bieda, pani, ciężka bieda. Na komornem jesteśmy, łyżki mleka nie widzimy, a i zgody nie ma, bo mój ciągle mi dogaduje, że mu krowy nie przyprowadziłam, że spłaty od ojców nie dostałam.

— Zabierzcie się oboje do pracy, za parę lat możecie się dorobić i chatę postawić i krowinę kupić.

— Oszczędzamy się, mój nie pije, na robotę chodzi, ale jeszcze dług z wesela.

— Jakto? jeszcze i wy macie dług z tego nieszczęsnego wesela?

— On się zapożyczył na półtora stówki, bo mu trzeba było na zapowiedzi, na ślub, na muzyki, na drużbów, płacimy procent i odrabiamy.

Ogromny mię smutek ogarnął.

Przez parę dni na wsi nie mogłam się rozweselić, bo mi ciągle przed oczyma stała biedna Maryna, której wesele zniszczyło połowę szczęścia.

Muszę! muszę znaleźć drogę do serc naszych wiejskich matek i przedstawić im, iż nie na tem wesołość życia polega, aby wesele było sute i bogate, lecz na tem, ażeby młodym ludziom ułatwić pracę na nowem gospodarstwie.

Chodzę po wsi, rozmawiam, radzę, uczę i proszę, ale jakoś nie patrzą na mnie z wielką życzliwością.

Aż tu znów za miesiąc leci wieść po wsi od chaty do chaty.

— Będzie wesele! Sute i bogate wesele! Cieśla córkę wydaje...

Cieszą się młodzi, starzy, biedni, bogaci... cieszy się żyd na propinacyi, muzykanci z drugiej wsi, a od rana do wieczora wszystko szepce:

— Wesele będzie! będzie wesele! pójdą pani?

— Dziękuję! nie, nie pójdę...

Jadwiga z Łobzowa.



Stara pieśń

o naszej dziewce i o niemieckim rycerzu.

Otwórz wrota, dziewko hoża,
Rży u bramy koń,
Za górami, za lasami,
Gdzieś ojczysta błoń.

Nie puszczę, rycerzu, nie puszczę, żołnierzu,
Obca mowa twa,
Obce znaki, hełm nie taki,
Obco róg twój gra.

Co tam mowa, obce słowa,
Serc miłosna nić,
Młodość pusta zbliży usta,
W szczęściu będziem żyć.

Nie puszczę, rycerzu, nie puszczę, żołnierzu,
Na nic zaklęć moc,
Krzywdy łzawe, pomsty krwawe,
Będą straszyć w noc.

Hej, dziewojo! krasawico!
Smutno zagrał róg,
Krew z ran broczy, mrok ćmi oczy,
Polem leci kruk.

. . . .

Choć drży blada, choć nie rada,
Już przestąpił próg,
I na palec pierścień wkłada,
Choć drży blada, choć nie rada,
Niemiec! obcy! wróg!

Nim odświtnął ranek wtóry
Koń ich poniósł w świat,
Poza lasy, poza góry,
Kruk poleciał w ślad.

Zahuczało, zadudniało,
Po dębowym moście,
Jadą, jadą, przyjechali,
Do siostrzyczki goście.

Zawierajcie prędzej wrota,
Hej! pacholikowie,
Jadą, jadą przyjechali
Tu moi bratowie.

Poznałam ich już zdaleka,
Po konikach wronych,
Po tej zbroi posrebrzanej,
Po czapkach czerwonych.

„Hej, siostrzyczko! My z wojenki!
„Z dalekiego świata!
„Wieziem tobie pozdrowienie
„Najmłodszego brata.

„Gdzieś w grunwaldzkim ostał borze,
„Na leśnym ostępie,
„Krwawa rana pierś mu porze,
„Krzyżak ciął podstępnie.

„Czemu witasz za wrotami?
„Przed się patrzysz blada,
„Czy cię krwawe widmo mami,
„Czyś gościom nie rada?

„Prowadź, siostro do świetlicy,
„Wiedź nas ku domowi,
„Niechże szczęścia z tobą życzym
„Naszemu szwagrowi.

„Biadaż mi! małżonce młodej,
„Biada mojej doli!
„Prowadź siostro, choć nie rada,
„Kruk już leci w pole.

„Hej! Podajcie pacholicy
„Hełm swojemu panu,
„I przynieście mu szablicę
„W ogniu hartowaną“...

Lecz brat starszy przodem skoczy
I ciął szwagra między oczy,
Drugi ciął go wedle szyje,
Własną krew już Niemiec pije..

. . . .

Teraz siostro kopaj grób!
Taki tobie z Niemcem ślub!
Takie tobie miłowanie,
Czarnych kruków zlatywanie.

. . . .

Do dom wracaj, razem z nami,
Za górami, za lasami,

W naszych zdrojach obmyj lice,
W siedmiorakich wód krynice,
Stu rzek polskich, opłucz wodą,
Plamę, — siostro, — z twego rodu!

A gdy będziesz syna miała,
Tak go będziesz kołysała:
„Luli, luli, synku mały,
„Polskie szable zarąbały,
„Zarąbały ojca, Niemca,
„Nie urośniesz cudzoziemca,
„Zarąbali go Lachowie,
„Hej! rodzeni wujaszkowie“.

A. B.

Obrazy z dalekich światów.

Wiadomo, jak lubią starzy i młodzi słuchać ciekawych opowiadań o dalekich zamorskich krainach. Zamiłowanie to jest rzeczą bardzo chwalebną, gdyż rozszerza pojęcia o ziemi, na której żyjemy, kształci umysł, dostarczając wiadomości o sposobie życia innych ludzi, o ich obyczajach, zwyczajach, o własnościach kraju, o ich przemyśle i handlu. Otóż dla tego postanowiliśmy w szeregu zajmująco napisanych obrazków, zapoznawać z tem wszystkiem czytelników naszych, a zacząć chcemy od Ameryki, jako najwięcej znajomej z opowiadań wychodźców.

Ostatnimi czasy trudno w naszej Polsce napotkać rodzinę, którejby ktoś z członków nie przebywał w Ameryce, lub nie utrzymywał z nią chociażby listownych stosunków. Jednakże może nie każdemu wiadomo, że przed czterystu kilkunastu laty zaledwie — co nie jest tak bardzo dawnem — o Ameryce nie śniło się nawet nikomu, że ona istnieje na ziemi, a możeby i jeszcze teraz nikt o niej nie wiedział, gdyby się nie był znalazł mąż, obdarzony wielkim rozumem i niesłychaną odwagą, a również silną żelazną wolą, który pokonawszy nadzwyczajne trudności, doszedł do swego celu, to jest doodkrycia Ameryki, czyli jak wtenczas mówiono Nowego Świata. (Starym światem nazywano Europę, Azyę i Afrykę i tylko te trzy części świata były naówczas znane). Mąż ten, który odkrył Nowy Świat, nazywał się Krzysztof Kolumb. Najprościej więc będzie, jeżeli sobie pierwszy nasz obrazek zatytułujemy:

Wyprawa Kolumba.

Krzysztof Kolumb pochodził z Włoch, z miasta Genui. Ojciec jego był ubogim tkaczem, ale mimo to dbały był o wychowanie syna. Dzięki więc troskliwemu ojcu, Krzysztof uczęszczał do szkół, a nawet uczył się po łacinie. Z tem wszystkiem jednak już w 14 roku życia puścił się na morze i żeglował po niem bezustannie przez lat 18. Nie była to tylko chęć podróżowania, szukania przygód, lub szczęścia w obcych krajach. Kolumb obdarzony od natury nadzwyczajnemi zdolnościami umysłu, badał, rozmyślał, czytywał księgi starożytnych mędrców, o kształcie i własnościach naszej ziemi i przyszedł do przekonania, że ona jest kształtu kulistego, że ją zatem dokoła opłynąć można, a dalej, że w strasznych mgłach oceanu Atlantyckiego (morze, którem się dziś płynie do Ameryki) nie kończy się świat, jak to ludzie myśleli, ale że za nim nowe znajdują się lądy. Ale cóż, niestety, jak się tylko z tem przed kimkolwiek odezwał, nie wyłączając nawet najuczeńszych mężów owego czasu, każdy wytrzeszczał na niego ocz , jak na waryata, lub na takiego, co bredzi w gorączce, wzruszał z politowaniem ramionami i odwracał się od niego. I jakżeż mieli zwracać nawet uwagę na to, co prawi jakiś biedny nieznany żeglarz, kiedy w najuczeńszych starożytnych księgach napisane było o oceanie Atlantyckim co następuje: „Nie masz żeglarza na świecie, któryby się po nim puścił, nikt go jeszcze nie zbadał — tak trudną i niebezpieczną jest żegluga po nim z powodu ciemności tam panujących, niezmiernej głębokości, częstych i straszliwych burz, co po nim grasują, a także z powodu przerażenia, jakie wzbudzają żyjące w nim potwory“. Ci zaś, którym Kolumb opowiadał, iż za tym straszliwym oceanem musi się znajdować jakaś nieznana ziemia, mówili przerażeni na samą myśl o tem:

„Alboż to nie wiecie, że świat się już tam kończy — w tym strasznym ogromnym, przewalającym się górami wodnemi przestworzu, że dalej to są już tylko same mgły, chmury, chaos, podobny do tego, jaki miał otaczać ziemię przed stworzeniem świata“. Ale Kolumb pewny swojej naukowej wiedzy, nie dał się tem odstraszyć. Udawał się na dwory możnych królów i książąt z prośbą, aby mu dali tylko okręty a on Nowy Świat odkryje, lecz i tam najuczeńsi ministrowie, posłyszawszy zaledwie, co Kolumb

mówi, zbywali coprędzej biednego szaleńca, nie wspominając nawet nic o tem panom swoim. I tak upływały lata, a wielki zapoznany mąż, zaczął powątpiewać w duchu, czy uda mu się kiedykolwiek spełnić najgorętsze pragnienie życia swojego?... Żali w śnie tylko widywać będzie cudne nieznane ziemie, rośliny, zwierzęta, ludzi niezwykłych, miasta ogromne i ludne, bogactwa nieprzebrane? Laty mijały, zwątpienie poczęło wkradać się do tej szlachetnej duszy, a włos czarny, choć lata jeszcze nie były po temu, począł przyświecać siwizną nad czołem myśliciela.

W tem zaszło zdarzenie, które niespodzianie zmieniło losy Kolumba i losy świata całego Opowiemy je według opo-wieści, którąśmy niedawno czytali:

W grudniu 1491 r. burzliwy wieczór zapadał, kiedy u furty klasztoru św. Maryi de Rabida w miasteczku portowem Palos, w Hiszpani, stanął ubogo wyglądający wędrowiec. W tej chwili z wieży klasztornej zadzwoniono na Anioł Pański. usłyszawszy dźwięk dzwonu, podróżny ukląkł i zdejmując z głowy stary wytarty kapelusz pochylił ją i modlił się żarliwie. Gdy skończył, obnażył główkę małego chłopca, którego wiódł z sobą, kazał mu klęczeć, zrobić znak krzyża i powtarzać słowa modlitwy. Poczem powstał, wyprostowawszy wyniosłą swą postać i nieśmiałym ruchem uniósł kołatkę wiszącą u furty.

Po chwili w jej progu zjawił się braciszek klasztorny i zapytał, kto stuka i czego?

— Ubogi wędrowiec prosi was o kawałek chleba i kubek wody dla tego oto dziecka,

— A kogo to Bóg prowadzi? — ozwał się za odźwiernym jakiś głos poważny.

— Ojcze przeorze — ów odparł — to żebrak jakiś prosi o kawałek chleba dla dziecka.

Przeor klasztoru zbliżył się i spojrzał na mniemanego żebraka. Jego postać barczysta i wyniosła, białe włosy przez wiatr rozwiane, a okalające wysokie myślące czoło, jasne oczy szare, z których rozum, powaga i poczucie ludzkiej godności patrzyły, wszystko to zwróciło uwagę przeora, który odsuwając odźwiernego, szerokim ruchem wskazał podróżnemu otwartą furtę.

— Klasztor św. Maryi de Rabida zawsze otwarty dla każdego, kto gościnności żąda. Wejdźcie i rozgośćcie się.

— Jestem Krzysztof Kolumbo, żeglarz z zawodu – rzekł gość, wymawiając nazwisko swoje z włoskiego.

— Proszę. proszę pod dach — rzekł przeor. — Lubię i znam ja żeglarzy, lecz za ich przykładem nie idę i w słotę wolę mój zaciszny kąt w klasztorze.

Wkrótce zaciekawione grono zakonników z przełożonym swym na czele obsiadło w jadalni Kolumba, przed którym stał duży dzban wina i misa z pieczoną rybą, a on jął im opowiadać swoje przygody.

I oto owo drobne zdarzenie: schronienie się pod dach klasztorny, zdrożonego i ubogiego Kolumba — miało zmienić losy świata całego.

W rozmowie z zakonnikami Kolumb opowiedział im o swoich planach, a chociaż niektórzy żegnali się ze zdumieniem i poczytywali myśli jego za kuszenie szatana, jednak byli między nimi i ludzie z prawdziwie oświeconym umysłem, a pierwszym sam przewielebny przeor klasztoru, ojciec Jan Perez. On to odrazu pojął całą doniosłość zamiarów Kolumba i udał się na dwór króla hiszpańskiego Ferdynanda, gdzie mu się udało wyrobić dla niego posłuchanie. Kolumb stanąwszy przed obliczem króla i małżonki jego, mądrej i dobrej królowej Izabeli, piękną swoją i pełną ognia wymową, potrafił skłonić do swoich zamiarów królewską parę tak, że mu wszystko, czego żądał, przyobiecała.

Jakoż w kilka dni przybył do Palos urzędnik królewski z rozkazem, aby w jak najkrótszym czasie przygotowano trzy okręty do drogi.

— Lecz tu czekały wielkiego męża nowe walki i zawody. Ludność portowa, dowiedziawszy o celu podróży, podniosła bunt.

— Nie damy okrętów!

— Nie mamy ludzi na zatracenie!

— Między falami przewalają się straszne potwory, które jednem uderzeniem ogona przewracają okręty, albo je w paszczy gruchocą.

— Nie chcemy kusić samego Boga!

— Milczcie! Rozkaz królewski! — wołał urzędnik.

— Król nie może od nas wymagać niemożebnych rzeczy! Nie może nas zmusić, abyśmy szli przeciw woli Bożej. — I groźnie wzniosły się pięście, a nawet błysnęły noże w ręku ciemnego, rozwścieczonego tłumu.

Ludność hiszpańska była ciemną i gwałtowną z powodu krwi gorącej jaka płynęła w jej żyłach, w niemałem też niebezpieczeństwie życia znajdywał się Kolumb. I kto wie, co by się było stało, gdyby nie byli przybyli w czas trzej starzy marynarze, którzy po-

siadali wielką ufność u zbuntowanych. Ci oświadczyli, że razem z nim popłyną i właśnie dla chwały Bożej chcą udać się na odkrycie nowych ziem, gdzie prawdopodobnie miliony pogan oczekuje na światło wiary chrześcijańskiej. To trafiło do przekonania ludu hiszpańskiego, który obok ciemnych zabobonów łączył w duszy wielką pobożność. Odtąd przygotowania poszły raźniej, tylko smutek matek i dzieci zapanował w miasteczku.

W dniu 3-go sierpnia było już wszystko gotowe. Załogi okrętów wraz z Kolumbem na czele odbyły spowiedź i przyjęły sakrament Komunii. O brzasku następnego dnia trzy lekkie statki kołysały się na falach, mające płynąć na odkrycie Nowego Świata. Ludność, zgromadzona na wybrzeżu, żegnała ich tak, jakby już wrócić nigdy nie miały. Słychać było w około głośne łkania i rozpaczliwe okrzyki kobiet z dziećmi na rękach. W kilku miejscach na wybrzeżu wzniesiono ołtarze, przy których Franciszkanie mszę odprawiali. Wszyscy już byli na statkach i nikomu nie wolno było do nich podpływać, tylko Kolumb klęczał jeszcze przed ołtarzem, gdzie przeor mszę odprawiał, bił czołem w proch ziemi i gorąco modlił się. Kiedy powstał, przeor ostatni raz przeżegnał czoło jego i szeroki znak krzyża zakreślił z oddali nad okrętami. Admirał (bo tak odtąd nazywano Kolumba) na łodzi przypłynąwszy do swego statku, dał rozkaz podjęcia kotwic; zazgrzytały łańcuchy, rzucane o pokłady, ogromny płacz z tysięcy piersi wybuchnął tak, że przygłuszył ciche łkania odpływających żeglarzy. Wiatr wydął żagle i okręty wolno poczęły sunąć ku huczącemu nieznanemu oceanowi, a z brzegów goniła ich długo posępna nuta pogrzebowej modlitwy, którą zrozpaczeni rodacy żegnali na zawsze nieszczęśliwych straceńców.

* * *

Trzydzieści i cztery dni, odkąd nie widzą nic prócz nieba i wody, odkąd po raz ostatni oczy ich widziały ziemię. Kiedyż kres? — I gdzie? Nic innego, tylko zwolna pogrążamy się w bezmierne jakieś mgławice, gdzie już się kończy świat.

Tak myśleli zrozpaczeni żeglarze i groźny szmer podniósł się na admiralskim okręcie. Zbitą ławą z ponurym pomrukiem suną ku tyłowi okrętu, gdzie na pomoście modli się, klęcząc, Kolumb, ze wzniesionemi ku niebu oczami.

— Dalej płynąć nie chcemy! Codzień obiecujecie nam ziemię, której jak niema tak niema. — Nawracać! Na wschód! Płynąć napowrót do Hiszpanii!

Pomruk i szmery zmieniły się we wrzask groźny i potężny, gromada ciemnych ludzi tłoczyła się w około jednego osamotnionego człowieka, którego wola parła ich ku poznaniu tego, w istnienie czego on tylko sam jeden wierzył. Starzy żeglarze zwątpili już także i przyłączyli się do buntu. Stał więc sam jeden, przeciw nawale przekleństw i złorzeczeń, niewzruszony, niezachwiany. Wyprostował wyniosłą postać, włosy lśniły jak srebro w zapadającem zmierzchu, z twarzą spokojną, z oczami utkwionemi w jasną jeszcze, lecz już gasnącą smugę zachodu. Skinął ręką na znak, że chce mówić.

— W morze rzucić admirała! Utopić go! Utopić! — ryczy gromada.

Ale Kolumb silnym głosem woła:

— Ludzie małej wiary!... Małoż to wam Bóg zesłał znaków, zwiastujących blizkość ziemi? Czyż na własne oczy nie widzieliście traw zielonych z brzegów przez fale wyrwanych, ptaków nad nami przelatujących — czapli, papug i inne drobniejsze ptactwo, które nie mając potężnych skrzydeł morskiego ptactwa, nigdy daleko od lądu nie odlatuje, ryb, które tylko u brzegów poławiać można?

— Dość mamy tych znaków!... To szatańskie znaki, aby wciągnąć nas w odmęty.

— Nawracać! Nawracać! Bo zabijemy!

— Do morza go! Do morza!...

— Jeśli mię zabijecie, to nikt was z powrotem nie odprowadzi, dobrze wiecie, że ja to tylko sam mogę — odpowiada spokojnie admirał.

— Zastanówcie się, jeśli z wiatrem pomyślnym, jakiś my mieli dotychczas, w tył nam wiejącym, potrzebowaliśmy trzydziestu czterech dni, aby tu dopłynąć, to ileż dni potrzeba będzie na odwrotną podróż.

Wściekli zbuntowani poznali własną niemoc. Straszne przekleństwa posypały się na głowę Kolumba.

— Przeklęty szaleniec! Nawet zabić go nie możemy.

Bunt załogi własną wściekłością strawiony, jak ogień lub burza, gdy niema już czego niszczyć lub trawić, ugasać począł, uspokajać się a w miejsce bezsilnego gniewu, jakiś żal

bezmierny, tęsknota nieopisana poczęła ogarniać serca zrozpaczonych na myśl, że na tej ogromnej bezdennej wodzie, przyjdzie im ginąć daleko od swoich. Ugięły się kolana, zadudniały deski pokładu od ciżby rzucającej się na ziemię w kornej modlitwie, a z ust, które przed chwilą grube przekleństwa miotały, wybiegł łzawy błagalny śpiew: *Salve Regina!*

W tem od przodu okrętu wbiegł mały chłopiec okrętowy a wymachując rękami w stronę morza, wołał piskliwym dziecięcym głosem:

— O! O!... Święta Maryo z Rabidy! [1]) Deska! Deska płynie!...

Rzucono się do łodzi. Po chwili wyłowiono kawał deski, na której wyraźnie znać było pracę rąk ludzkich, a tylko śladów żelaznego narzędzia dopatrzeć się nie było można.

— Gdzie jest deska, tam ludzie być muszą — rzekł Kolumb — a ludzie na ziemi nie na wodzie mieszkają.

Nazajutrz wyłowiono z wody najprzód trzcinę, ozdobioną rzeźbami, a potem przed wieczorem gałązkę ciernia świeżym okrytą kwiatem. Ta ukwiecona gałązka, którą Nowy Świat powitał przybyszów, napełniła najzatwardzialsze serca nadzieją i rozrzewnieniem. Kolumb zgromadził załogę i wszystkim oznajmił:

— Do ziemi zbliżamy się niezawodnie. O północy będziemy od niej mil parę. Kto o niej pierwszy oznajmi — dostanie oprócz nagrody od króla obiecanej, dziesięciu tysięcy marawidi [2]) rocznego dożywocia, jeszcze kaftan aksamitny odemnie.

Wszystkich ogarnęło niezmierne ożywienie. Wszystkich oczy utkwione były w płomienistą smugę zachodu. Kolumb, który już wcale nie schodził z górnego pomostu, ujrzał w oddali małe światełko ruchome, znikało ono i znowu się ukazywało, jakby ogień płonął na łodzi przez fale kołysanej, albo jakby kto nosił pochodnię od domu w nadbrzeżnej wiosce.

Nareszcie o drugiej po północy ozwał się wystrzał armatni ze statku przodem płynącego. W odległości dwóch mil, na migocącej odbiciem gwiazd powierzchni oceanu, wszyscy ujrzeli czerniejące brzegi stałego lądu. Ten, który najpierwszy je dojrzał, nazywał się Rodrigo de Triana.

— Wszystkie żagle zwijać! — ozwał się donośny lecz zmieniony do niepoznania wzruszeniem głos admirała.

— Wszystkie żagle zwijać — powtórzyli dowódzcy drugich dwóch statków.

Westchnienie dziękczynne uleciało ze stu dwudziestu piersi: Kolana głucho uderzyły w deski pokładu i ogromny tryumfalny chór popłynął ku nieznanym krainom. *Gloria in execlsis Deo.*

Przez całą noc nikt oka nie zmróżył. Wszyscy razem mówili, krzyczeli, ściskali się. Płakano z radości, winszowano sobie wzajem ocalenia, tylko Kolumb chodził po górnym pokładzie, wciąż patrzał na czerniejące brzegi, jak gdyby obawiał się, aby znowu we mgle nie stopniały. Ciało jego było wyczerpane tylu przebytemi walkami, lecz dusza doznawała niewymownych rozkoszy. Oto są: chwała jego, nieśmiertelność, które otoczą w najdalsze wieki, jego nieznane dotąd pospolite imię, syna ubogiego tkacza. Mędrcy go wyśmiewali, a jednak on zwyciężył.

Brzask poranku blade modre połyski po morzu i niebie rozlewać zaczynał. Na tle zwolna jaśniejącego nieba zarysowały się ciemne jeszcze kształty bujnie rozrośniętych drzew. Niebo z bladego stawało się różowem. Nagle słońce strzeliło z pod wód oceanu olbrzymiemi snopami promieni, zielone kobierce trawy, ścielące się do wody, zamigotały jaskrawem kwieciem i Kolumb ujrzał roje mieszkańców wyspy, biegających po wybrzeżu z oznakami niesłychanego zdumienia i przerażenia. Wszyscy byli zupełnie nadzy lecz dziwacznie umalowani, rękami wskazywali na okręty, wielu pokłony biło.

Kolumb odziany w szkarłatny kaftan i krótki płaszcz hiszpański, w ręku trzymając chorągiew królewską, wsiadł do łodzi z towarzyszami i po dziwnie przejrzystej, jak lustrzana szyba wodzie, przybił do niskiego brzegu zasłanego murawą i tysiącem różnobarwnych kwiatów. Zaraz u brzegu ukląkł, ucałował ziemię, o której tyle lat marzył i cicho ze łzami radości w oczach dziękował za nią Bogu. Towarzysze poszli za jego przykładem. Długo klęczał, nie mogąc nad głębokiem wzruszeniem zapanować, a kiedy powstał, miecza dobył, chorągiew królewską rozwinął i gromadząc w koło siebie całą załogę objął w posiadanie tę wyspę na rzecz korony króla hiszpańskiego i kazał przysiądz na posłuszeństwo sobie, jako wicekrólowi i wielkorządzcy, zastępującego tu na tej ziemi monarszą osobę króla Fer-

[1]) Jak u nas z Częstochowy.
[2]) Pieniądze hiszpańskie.

dynanda. Wyspę tę. która stanowiła jednę z licznej grupy wysp (archipelagu), prowadzącej w głąb stałego lądu Ameryki nazwał wyspą św. Zbawiciela. Nazwa Ameryka pochodzi od imienia Amerigo Vespucci, także uczonego Włocha i słynnego podróżnika, który już po Kolumbie dalsze odkrycia poczynił w tej części świata

Jak uczynić dom miłym żonie.

Poniższy artykuł podajemy, aby go nasze kobiety mogły dla większej skuteczności przypomnieć swym mężom.

Mężowie mają obowiązek dbać o to, aby żona nie przykrzyła sobie domu i rodzinnego ogniska, lecz żeby uważała sobie dom i rodzinę za świątynię, w którejby Panu Bogu w szczególniejszy sposób służyć mogła. Lecz nie jedna żona ma prawdziwy krzyż z mężem swoim.

Trzeba przyznać mianowicie, że mężowie pod tym względem często błądzą. Ileż to razy mężowie tak się z żonami obchodzą i takie im stawiają wymagania, że zdawaćby się mogło, że to nie ich żony, lecz służebnice. Z pewnością każda żona dosyć się o to stara, aby mężowi swemu, którego nieraz aż do zbytku kocha, we wszystkiem wygodzić. — Gdyby więc mąż chciał uznać tę dobrą wolę żony, to niejednę oszczędziłby jej przykrość. Ale na to mają mężowie często oczy zamknięte: wiedzą tylko, że są panami domu, że ich wola jest i ma być regułą, do której wszyscy się muszą stosować, a biada temu, ktoby się jej sprzeciwił. Biedna żona wtedy tylko drżeć musi na wspomnienie, że to lub owo nie znajdzie upodobania w oczach jej szanownego małżonka.

Gorzej jeszcze, gdy mąż jest do tego stopnia bezwzględny, że obsypuje żonę obelgami i wyzwiskami, nieraz nawet nie szczędzi bolesnej zniewagi. Niechno tylko nie stanie się coś podług woli męża, niech się o minutę obiad spóźni, niech się potrawa nieco przypali, niech zabraknie gdziekolwiek guziczka, którego żona, obarczona jeszcze przecie innemi zajęciami, przyszyć zapomniała, a awantura gotowa. Wtedy latają pioruny po domu, sypią się klątwy z ust rozwścieklonego męża, padają obelgi i gorszące wyzwiska, a tu dziecko słucha i słucha. To wszystko zaś o co? O drobnostkę nieraz taką, która nie warta wspomnienia.

Co więcej nawet? Zdarzają się wypadki, gdzie mąż z ladajakiej przyczyny, nieraz przyszedłszy w złym humorze do domu, wpada w taką złość, że i pięście są w robocie. Ale na to już rzućmy zasłonę! Nie chcemy nawet przypuszczać, żeby nasze pismo mogło być choć w jednym domu świadkiem takiej gorszącej chwili, gdzie mąż, jak zwierzę rozjuszone, pastwi się nad słabą żoną. To już mąż nietylko niedobry, ale wprost zły i niegodziwy....

W każdym jednak razie warto zapytać: Czy to tak owi szanowni mężowie pojmują miłość małżeńską? czy koniecznie w ten sposób chcą dać dowód, że kto się lubi, to się czubi? I dalej: Czy może żona być zadowoloną i szczęśliwą w takim domu, gdzie mąż uważa ją za bydlę robocze, za niewolnicę? Czy nieraz nie musi jej przychodzić pokusa rzucić wszystko i wieść życie samotne? Dobra i uczciwa żona z pewnością nie łatwo na takie pokusy zezwoli, ale przy podobnym mężu nie dziw, że jej takie myśli tłoczą się do głowy.

„Mężowie, miłujcie żony wasze!“ — takie napomnienie daje apostoł Paweł św. Miłość, to święty obowiązek, który ślubował każdy mąż żonie przy ołtarzu. Siła tego obowiązku pozostaje ta sama, chociaż i w pół wieku po ślubie, ta sama, jaką była w chwili, gdy oboje klęczeli przy ołtarzu. Niestety zbyt często tak się dzieje, że narzeczony przed ślubem radby zjeść swoją ubóstwianą, a po ślubie objawia jej swoją miłość wyzwiskami, klątwami, nieraz nawet — kułakami. A przecież stworzył Pan Bóg niewiastę nie ze stopy mężowej, aby była niewolnicą, po której bezkarnie deptać może, ale z żebra Adamowego na znak, że ona ma być przybraną towarzyszką męża, otoczoną serdeczną miłością!...

Więcej łagodności, więcej wyrozumiałości ze strony mężów, a zakwitnie pokój w domu, który dla żony stanie się rajem na ziemi.